



PRZEbieg BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 18 (57)

NIEDZIELA 9 MAJA 1943 R.

CENA 20. FLS

WIELKOŚĆ DLA WSZYSTKICH

...prawa wielkości są inne niż prawa małocności...

(Józef Piłsudski)

W miarę upływu lat, a lata wojny liczą się wszak podwójnie, inaczej niż poprzednio odczuwamy tragiczne rocznice. Wiadomości o zamknięciu powiek przez Józefa Piłsudskiego w dniu 12 maja 1935 r. przysłała jak uderzenie obucha: niósł osłupienie, niemożność objęcia tego, co się stało, bunt przeciw rzeczywistości. Pierwsze rocznice, to był żal, ból, smutek. Późniejsze jednak wydarzenia, ciosy i wstrząsy zrobiły swoje: rocznica zatracła cechy żałobne, skłania za to do wspomnień i rozważań.

Czas, który jest i który idzie wymaga od nas gromadzenia wszystkich pierwiastków siły. Nie tylko materialnych, ale w nie mniejszym stopniu — duchowych. W tej właśnie dziedzinie spuścizna po Józefie Piłsudskim zawiera wartości wyzyskane dotąd w zbyt skromnym stopniu. Stąd właściwym uczuciem Komendanta jest przyswojenie tej spuścizny dla ratowania jego zagrożonego dzieła.

Są cechy tej potężnej indywidualności, które możemy podziwiać, ale które naśladować umielibyśmy w słabym tylko stopniu. Tu należą: jasność myśli, zdolność dalekosiężnych przewidywań, szybkość i stanowczość decyzji, władza umiejtności narzucania swej woli, urok osobisty, zdolność zniewalania serc, mistrzowskie władanie słowem. Są jednak inne cechy, składające się już nie tyle na charakter postaci, co na metodę pracy, sposób postępowania i działania, których przyswojenie, przy świadomym wysiłku jest możliwe. Możliwe jest nawet, jeśli nie dla każdego z nas z osobna, to dla nas jako zbiorowości, osiągnięcie tej osobliwej cechy, której na imię — Wielkość. I choćby aspirowanie do miana „wielkiego pokolenia”, o którym już kol. Arp. na tych łamach pisał, wydało się komuś romantyczną donkiszoterią, rzecz w tym, że los nie zostawił nam szerokiego wyboru.

O ile aforyzm Marszałka, że „Polska skazana jest na wielkość” stanowi nieunikniony wniosek z wmyślenia się w naszą geograficę, o tyle dzisiejsza chwila dziejowa jest tego wniosku tragiczną realizacją. Od września 1939 r. trwa próba, której końca nie widać, ale której dla nas wynik w dużej mierze od nas będzie zależał. Wielkie czasy nie zostawiają miejsca dla przeciętności. Albo zdamy egzamin z wielkości, albo damy świadectwo, żeśmy mali, mizerni, niegodni czasów, w których nam żyć przyszło.

Pojęcie wielkości łączymy z takimi tylko osiągnięciami ducha ludzkiego, które znakomicie wybiegają ponad przeciętność zastugując na pamięć i podziw pokoleń. Czujemy technicznie wielkości patrząc na Nike z Samotraki, czy na rzeźby Michała Anioła, słuchając Dziewiętej Symfonii, czy Poloneza As-dur, czytając

Antygonę, czy Wielką Improwizację, próbując ogarnąć dorobek myśli Arystotelesa, czy Kopernika. Twórców tych dzieł uważamy za geniuszów, za jednostki wyjątkowe, niepowtarzalne. Czy więc nie jest dzielną śmiesznością myśleć o wielkości dla społeczeństwa, które jak się zdaje nie ma dziś w swym tonie ani jednego geniusza?

Wielkość nie musi jednak być dziełem geniuszu. Rozważmy takie jej niewątpliwie przykłady, jak Termopile i Westerplatte, jak Mucjusz Scaevola lub Stefan Starzyński. Na ich wielkość złożyły się: przez los narzucone heroiczne zadania i nieugięte charaktery na miarę owych zadań. Spartanie Leonidasa mogli przejść przez życie jako szanowni obywatele, o których zapomnieliby już następnego pokolenie, gdyby się nie znaleźli u wrót zagrożonej ojczyzny, na roz-

„Rok 63 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, wysiłków woli, siły moralnej. I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: Wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: Wielkość naszego Narodu w wielkiej epoce 63 roku istniała, a polegała ona na jednym może w dziejach naszych Rządzie, który nie znany z imienia, tak był szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.”

Swoją wielkość zdobywa Piłsudski nie jednorazową ofiarą życia, chociaż życie wielokrotnie naraża. Zdobywa ją dziesiątkami lat niezłomnego wysiłku, służącego jednemu zadaniu: odbudowie niepodległego

Ci, którzy wynieśli na szczyt hierarchii celów socjalizm, nie mogli darować, że ich były towarzyszy nie wprowadził w życie ustroju, o który niegdyś walczył. W rzeczywistości socjalizm dawał mu możliwość walki o wolność, bdenia ducha oporu, skupiania szlachetnych i ofiarnych. Nie był celem najwyższym, musiał więc ustąpić, gdy państwu potrzebne były siły wszystkich grup społecznych.

Podobnie z demokracją. Wychowany w nienawiści do absolutyzmów Piłsudski był szczerym zwolennikiem demokracji społecznej i ustrojowej. Już w trzy miesiące po powrocie z Magdeburga, w warunkach, które usprawiedliwiałyby dyktaturę wojskową, składa władzę w ręce ultrademokratycznie wybranego Sejmu, złożonego w większości z jego politycznych przeciwników. Skoro jednak doszedł do przekonania, że parlamentaryzm francuskiego typu nie daje państwu siły; co ostatnio historia samej Francji potwierdziła — usuwa się do stanowiska obserwatora. Straciwszy nadzieję na samoradną poprawę dokonywuje przewrotu, ale i po nim odmawia przyjęcia pełni władzy, usiłując godzić demokrację z siłą. Prawda, że tego zagadnienia w pełni już nie rozwiązał, jak nie rozwiązano go dotąd nigdzie. Ale i na tym polu nie sprzeniewierzył się ani na chwilę celowi, któremu służył.

Trzeci przykład, to stosunek do przeciwników. Przez czas długi Piłsudski odznaczał się tolerancyjnością, zdumiewającą jego otoczenie. Zabronił pociągania do odpowiedzialności ludzi, którzy go spotwarzali iub podrywali zaufanie wojska do niego. Stosował wyjątkowo dla czasu wojny liberalizm prasowy. Politycznych i osobistych przeciwników powoływał na wysokie stanowiska w rządzie i w wojsku. Później to się zmieniło. Zaczęły się represje, aż po znane drastyczne przykłady włącznie. Mówiono, że na starość stał się mściwy. Znowu nieporozumienie. Przed wojną 1914 r. jak i podczas wojny, jedyną społeczeństwo dla niepopularnych celów we wrogim otoczeniu nie można było zrażać kogokolwiek. Ponadto jest oczywiste, że w dniach wojny tylko ludzie mali znajdując mogą czas na zemsty i porachunki. Gdy jednak po wojnie i ustaleniu granic rozwinęło się warcholstwo, gdy swary wewnętrzne stały się głównym hamulcem rozwoju, Piłsudski uznał, że w małostkowych sporach zagrożone są wielkie cele i tolerancja stanowiąca poprzednio jedno z źródeł siły staje się źródłem słabości. Stąd reakcja, że zaś nie przywykł stosować półśrodków — reakcja jaskrawa. W porównaniu z ustrojami prawdziwie dyktatorskimi miała ona jednak zakres ograniczony, o czym świadczy prawie zupełny brak emigracji politycznej.

A w polityce zagranicznej? Dotąd pokutuje pogląd, jakoby w 1914 r. (Dalszy ciąg na str. 2)



staju dróg do sławy, albo do hańby. Innych nie mieli. Wybrali pierwszą. Dwa są wielkości warunki konieczne i wystarczające: cel wart największej ofiary i poświęcenie się temu celowi bez reszty. Pozornie — to niewiele. Jak rzadko jednak udaje się to „niewiele” osiągnąć!

Piłsudski jest wielki geniuszem, ale także świadomym wysiłkiem woli. Zagadnienie wielkości żywo go zajmowało. Wraca doń wielokrotnie. Niczym się tak nie brzydzi, niczego z takim gniewem i uporem nie zwalcza, jak małocności i słabości ducha. Szuka wielkości w dziejach i znajduje ją m. in., rzecz charakterystyczna, w przegranej od początku, tak beznadziejnej próbie, jak powstanie styczniowe. To ciekawe rozważanie przytaczam za wydawnictwem „Józef Piłsudski mówi”:

i silnego państwa. Cel ten może się nam dziś wydawać banalnie oczywisty. Gdy jednak stawał go Piłsudski, w dobie pozytywizmu, nie tylko jego wysuwanie nie było banalnem, ale przez poważną część opinii było uważane za szkodliwe i nie na czasie. Nie, żeby o wyzwoleniu nie marzono, ale że „realnym” politykom próby urzeczywistnienia tych marzeń wydawały się sprzeczne z mniejszymi, doraźnymi celami, które usiłowali osiągnąć.

Nierozumienie hierarchii celów Józefa Piłsudskiego było przyczyną, dla której nawet część przyjaźniół dopatrywała się w jego wyjątkowo jednolitej polityce sprzeczności, a niekiedy pomawiali go wręcz o zdradę przekonani. Rozpatrzymy znane przykłady tych rzekomych sprzeczności.

ODZYSKAMY OJCZYZNĘ WIĘKSZĄ I POTEŹNIEJSZĄ PRZEMÓWIENIE RADIOWE GEN. ANDERSA

Zołnierze Armii Polskiej na Wschodzie i wy drodzy Rodacy, których losy wojny rzuciły na tereny Iraku, Iranu, Palestyny, Syrii, Egiptu i Afryki Południowej!

Przemawiam do was z Bagdadu z okazji otwarcia stałych audycji radiowych Armii Polskiej na Wschodzie, w chwili szczególnie dla naszego narodu i państwa bolesnej.

Wojna, którą podjęliśmy przed czterema laty w obronie naszych najświętszych praw przyniesie nam jeszcze na pewno wiele poważnych ciosów. Ale wszystkie one nie mogły dokonać i nigdy nie dokonają jednego — nie złamały naszego ducha, nie zniszczyły naszej woli walki i nie zachwiały naszej wiary w zwycięstwo.

Polska pierwsza stawiała opór Niemcom w obronie swej niepodległości. To jest prawda historyczna, której nikt zaprzeczyć nie może. Mogliśmy wtedy ceną cięższej rezygnacji z naszej niezależności zachować pokój. Mogliśmy uchronić od pożogi nasze wsie i miasta, a samym uniknąć więzień, niewoli i tułaczki.

Jak jednak nie było wówczas nikogo wśród nas, kto zgodziłby się z taką ewentualnością, tak i dziś naród cały, pomimo wszystkich niebezpieczeństw, jakie nań spadły, nie żałuje powziętej wówczas decyzji. Bo dla nas Polaków nie ma cenniejszych wartości jak wolność i niezależność i w ich obronie jesteśmy zdecydowani walczyć do ostatniej kropli krwi.

Ścisłe braterstwo hroni łączy nas z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi.

Wielka Brytania, wierna jak zawsze swojemu słowu, stanęła pierwsza u naszego boku, gdy znaleźliśmy się w potrzebie. Sojusz ten przeszedł zwycięsko przez próbę najcięższych chwil. Przetrwał katastrofę Francji w 1940, uchronił się w dniach prób Hitlera opanowania wysp bry-

tyjskich, jedynej wówczas ostoi wolności Europy.

Dumni jesteśmy, że w czasie bitwy o Anglię byliśmy jedynymi spośród sprzymierzeńców, którzy czynnie bronili brytyjskiego nieba, że przelewaliśmy za Londyn krew z tym samym poświęceniem, co za Warszawę. Bo świadomi byliśmy tego, że sprawa nasza jest jedna i nierozdzielna, że zwycięstwo naszych sojuszników będzie i naszym zwycięstwem, a ich klęska byłaby i naszą klęską. Tak samo, jak i nasi sprzymierzeni rozumieją, że zniknięcie z karty Europy niepodległej i silnej Polski zagroziłoby bezcieństwu i równowadze politycznej świata. W tej prawdzie i dzisiaj nie się nie zmienilo i zmienić nie może.

Stany Zjednoczone, będące twierdzą najszlachetniejszych ideałów wolnościowych, pomne już półtora wieku trwającej przyjaźni, tak jak w czasie ubiegłej wojny okazały nam daleko idącą pomoc i życzliwość.

W oczach naszych przyjaciół amerykańskich Polska jest nie tylko natchnieniem świata, lecz jej pełne zwycięstwo uchodzi za sprawdzian triumfu sprawiedliwości nad bezprawiem, dobra nad złem, rozumu politycznego nad bezwładem. Nawet nasi wrogowie, którzy chcieli utopić w morzu krwi imię Polski i hekatombą morderstw zagłuszyć głos nasz na świecie, zmuszeni są przerwać milczenie i tłumaczyć się przed światem z popełnianych na naszym narodzie zbrodni.

Nie udało się wymazać imienia Polski z mapy świata. Nie udało się bowiem wytrącić nam z ręki broni.

Walczyliśmy bez przerwy od 1 września 1939 roku na lądzie, w powietrzu i na morzu.

Marsz nasz do Polski jest niestety bardzo krwawy, ale walczyliśmy z pełną wiarą o przyszłość narodu i tak do bólu przez nas ukochanego Kraju. Dzielił się razem ciężkie, pełne

chwale boje. Przeszliśmy razem przez więzienia, tortury, głód, nędzę i poniewierkę. Dziś nie ma już dla nas nie niemożliwego. A trudności, których na pewno los nam jeszcze nie oszczędzi — zwyciężymy.

Krwia naszą i trudem, przy pomocy naszych wielkich przyjaciół sojuszników, w których honor i lojalność wierzymy głęboko, odzyskamy

na pewno naszą drogą Ojczyznę, jeszcze większą i potężniejszą.

Zołnierze Armii Polskiej na Wschodzie! Przed nami droga trudna i krwawa, kroczyć ją jednak pewnie, silni wiarą w Boga i świętość naszej sprawy.

Zaprowadzi ona nas do naszej Polski niepodległej, wielkiej i szczęśliwej!

PRZEMÓWIENIE P. PREZYDENTA R. P.

P. Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz wygłosił w dniu 3 maja przemówienie radiowe do Polaków w Kraju. Oto wyjątki z tego przemówienia: Wróg powiedział Polakom i światu, że nie ma i nie będzie Polski, że wymazał jej imię z rodziny narodów, by nigdy już do niej nie powróciło.

Pomylił się wróg. Imię Polski jest niezniszczalne. W tych historycznych zmaganiach ludzkości, jakie nam przyspado przeżywać, naród Polski, pomimo poniesionej w nierównej walce klęski militarnej, odnosi zwycięstwo moralne, które w końcu musi nam dać i zwycięstwo polityczne.

Mobilizować musimy cały nasz wysiłek, by zbliżający się pokój przyniósł nie tylko należną nam sprawiedliwość, ale i realizację polskiej koncepcji politycznej w zakresie organizacji tej części Europy, w której znajdują się nasze państwo. Koncepcji tej najlepszym wyrazem historycznym była przedrozbiorowa Rzeczpospolita Polska — pierwsze bodaj w Europie państwo, stworzone dobrą wolą kilku narodów. Dążąc w chwili obecnej do stworzenia na środkowo-wschodnim między-rzu europejskim silnego związku wolnych narodów, podejmujemy koncepcję zgodną z naszą tradycją historyczną. Jedyne taki blok, nie skierowany

przeciwko żadnemu innemu państwu, prócz tych, które by w przyszłości ponownie podjęły hasło podboju — zapewnić może pokój i pomyślność tej części Europy.

Przemawiając dzisiaj do was, obywatele Rzeczypospolitej, pragnę zapewnić was, że zarówno ja, jak wszyscy Polacy, którym przyspado bronić interesów i spraw Polski poza granicami wyniszczonego przez okupanta Kraju, czujemy się sługami narodu, w jego najcięższych chwilach, świadomymi swej wielkiej przed nim odpowiedzialności.

To poczucie odpowiedzialności każe nam dbać o wszystkie te wartości, które są dla nas podstawowe.

Należą do nich przede wszystkim ciągłość władzy legalnej i jedność, której przykład tak imponujący daje nam w Kraju.

Obok bohaterskiej postawy Kraju i tego wkładu, jaki nasze Siły Zbrojne na obczyźnie wnoszą i wnoszą jeszcze do wspólnego wysiłku zbrojnego narodów, posiadamy poczucie naszych dobrych i słuszych praw.

Polityka polska nigdy nie zochy z tej drogi, na jaką wkroczyła 1 września 1939, drogi obrony całości i integralności Rzeczypospolitej.

WIELKOŚĆ DLA WSZYSTKICH

(Dokończenie ze str. 1)

wobec ścierających się orientacji „pro-rosyjskiej” i „pro-niemieckiej”, Piłsudski stanął przy tej ostatniej, a potem „zmienił orientację”. Trudno o większy absurd, jak zaliczenie Piłsudskiego do polityków budujących koncepcje w oparciu o to lub tamto mocarstwo zaborcze. Wszak walkę o samodzielność polskiej polityki wyltkano mu jako rzekomy brak zmysłu rzeczywistości. Zaczątek wojska stworzył po stronie, po której to było możliwe, walczył z tym najeżdżcą, który należał do obozu zwycięskiego mógł być uważany za silniejszego. Gdy dzięki rewolucji stał się on słabszy, Komendant zaprzestaje walki z nim, by nie wzmacniać Niemiec, które jako silniejsze, stały się wówczas wrogiem Nr 1. Mamy tu przykład wielkości, realizowanej na drodze największego oporu, wbrew opinii, kosztem poświęcenia ukochanego przez siebie wojska, z przyjęciem na siebie pełnej odpowiedzialności, nie wyłącznie moralnej, boć konsekwencją zachęcania wojska do oporu w czasie wojny mógł być nie tylko Magdeburg... To zarazem przykład, że

niezłomność nie polega na upieraniu się przy celach taktycznych, które muszą być rewidowane przy zmianach położenia, ale na wierności celowi najwyższemu. Okazało się też, że taka dalekowszerna polityka — przynosi owoce.

Po wojnie, ileż razy w nas wzywano, nawet ze strony przyjaciół, że powinniśmy się „oprzeć” o wschodniego lub zachodniego sąsiada. Poglądom tym, znajdującym i w Polsce oddźwięki, Piłsudski nigdy nie uległ.

Rozumiał, że położenie nasze jest groźne, ale wiedział, że opieka tego czy tamtego imperialistycznego sąsiada byłaby już katastrofą. Dlatego właśnie wzywał naród do wielkości, a wszystkie siły poświęcał wojsku i polityce zagranicznej. I chociaż naraził się na zarzut części opinii francuskiej, jakoby zdradził sojusz z Francją zawierając z Niemcami pakt nieagresji, dziś wiemy, że Polska zawsze gotowa była zobowiązania wykonać, ale jej propozycje nie znalazły echa na Zachodzie. Polityka Piłsudskiego w dziedzinie zagranicznej, jak w każdej innej, była

polityką wielkiego stylu, godności, nie drobnych gier i oportunistów. Zaufanie, które ta polityka wzbudziła, stało się fundamentem przymierza z Wielką Brytanią, które tak świat zaskoczyło w roku 1939.

I tak wszędzie. Gdzie postępowanie Piłsudskiego wydawało się współczesnym niespodzianką, dziś, z odległości lat, ujawnia niezwykle konsekwentną linię, stale ku jednemu zmierzającą celowi. W tej prostocie i czystości, braku załamania i odchylenia tkwi jej wielkość i jej wartość jako przykładu dla nas. Jakkolwiek brzmi to jak truizm, wciąż trzeba pamiętać, że osiągnięcie wielkości wymaga nade wszystko walki bezkompromisowej z małością. Jeżeli nie potrafimy się wyrzec drobnych egoizmów, drobnych ambicji, drobnych swarów, drobnych wygód czy przyjemności dla wielkich zadań ogólnych, jeśli nie będziemy gotowi w każdej chwili do ofiar z teraźniejszości na rzecz przyszłych pokoleń i trwałego rozwoju Narodu i Państwa — nie tylko nie staniemy się ośrodkiem żadnej myśli politycznej, który mógłby skupić inne narody, ale będziemy pośmiewiskiem świata. Pamięć Marszałka może nas od tego uratować.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

...Słabość ma zawsze jedną konsekwencję — zamilowanie do wielkich słów bez treści. Mamy też to wszędzie. Jeżeli się przebiega dokumenty historyczne, czyta ówczesne określenia, znajdziemy wszędzie pompatyczne słowa, którym treść nie odpowiada. Wszędzie, że tak powiem, słowa przekraczają zamiary, gdyż zamiary istotnie są skromne, a wielkie słowa wyrzucane są jakby dla przykrycia skromnych zamiarów, dla ukrycia swej niemożności istotnego wprowadzenia w życie tego, co się mówiło. Jest to charakterystyka zawsze słabości. Silny nigdy tak nie postępuje.

Józef Piłsudski

Michał Ciołek

W O J N A W S T E P I E

Generalna próba Dywizji Karpackiej.

Ogromna kolumna samochodów. Można nie wiem jak wzrok wyteńczyć, a nie zobaczy się ani początku, ani końca. Tylko równy, srebrno-zielony szlak zgniecionej trawy i kurz, eksplodujący z pod kół.

Po raz pierwszy od walk w Tobruku i pod Gazalą Brygada wykopala „topór wojenny” i uderzy na nieprzyjaciela całą potęgą swego ognia. Wprawdzie nieprzyjaciel — to pojęcie ćwiczebne, a w najlepszym razie tarcze z tektury, ale bądź co bądź ckmny zaszczełają nie „na niby”, a 25 funtówki będą prażyć całym swym impetem w upatrzone cele.

Droga wiedzie przez step. Szumią tany zielono-oliwkowych traw. Na horyzoncie przebliskuje Tygrys, a przed nami rozciągają się aż pod Bagdad rozległe sawanny.

Ogromna karawana loskocze, zgrzyta i dudni Jadą bataliony, dywizyjny kompanie saperów, „drućki”, carryery. Jadą kuchnie i kancelarie. Łomocą ciężkie trzytonówki, podskakują jak pchełki maleńkie Jipy. W tym ruchu wielkiej zmotoryzowanej kolumny jest coś niewymownie wesolego i beztronskiego. Brygada ma już sporo takich podróży za sobą. Przypłynął był marsz z Libii do Aleksandrii w kilku równoległych kolumnach. Albo długodystansowy marsz z Palestyny do Iraku przez pustynię syryjską...

Tą trudną i mało w Polsce przed 1939 r. znaną sztukę ruchu zmotoryzowanego wielkich jednostek dywizyjną opanowała.

Kolumna rwie naprzód sprawnie i szybko. Motocykliści, tzw. „Ere” (Regulacja Ruchu), pilnują porządku. O oznaczonej godzinie stajemy na biwaku o wiele, wiele kilometrów od przyszłego pola walki. Wozy rozspują się w terenie i omotane w siatki maskownicze stają się niedostrzegalne dla lotnika. Carryery wyjeżdżają w przód, aby zabezpieczyć nas od wszelkich „niespodzianek”. Widzimy właśnie jak ruszają — przysadkowane, ciemno zielone żuki. Suną pomrukując w step i zmierzach.

ZBLIŻAMY SIĘ DO NIEPRZYJACIELA

Po południu dnia następnego rozpoczynamy ćwiczenia. Dziś mamy z południa na północ. Nasi lotnicy wypatrzyli nieprzyjaciela. Jest o wiele mil przed nami. Zajmuje umocnione stanowiska na linii wzgórz równoległych do rzeki. Za tymi stanowiskami, o jakieś 70 km dalej na północ, znajduje się główna linia oporu nieprzyjaciela. Naszym zadaniem będzie zniszczyć óp wrogą w pierwszej linii, a następnie jak najszybciej dobrać się do jego głównych stanowisk.

Wiemy już o co chodzi, z kolei przyjrzyjmy się wykonaniu.

Czołowe elementy brygady są już w ruchu. Ćwiczą dowódcę brygady przewiduje doprowadzenie w ciągu nocy wszystkich oddziałów na podstawę wyjściową, a rano następnego dnia uderzamy na wroga.

Tu i tam widać buszujące carryery. Kolumnki suną niestrudzenie na północ. Wokoło rozpościera się zielony dywan wysokości, kosmatej trawy, w której tkwiące gdzieniegdzie kępy maków i rumianku wyglądają jak klomby wśród trawnika. Step jest bezładny i pusty. Czasem tylko z pod kół zrywa się ptactwo — zupełnie niezbrane nam gatunki. Po długiej, monotonnej jeździe teren staje się pagórkowaty i stajemy u celu.

Jesteśmy na punkcie obserwacyjnym. Dowódca brygady w towarzystwie szefa sztabu gromadzi elementy potrzebne do wydania rozkazu bojowego. Obok telefonistów i radiostacji. W tyle słychać potężniejszy warkot motorów. To batalion, który ma osłaniać przygotowania brygady do natarcia wyładowuje się pod osłoną wzgórz. Tu i tam przemakają carryery rwąc naprzód — nasze kły i pazury skierowane na wroga.

Z punktu obserwacyjnego widać stanowiska nieprzyjacielskie. Pierwsze z nich, odległe około o trzy kilometry, zajmują mości wyniosłego pagórka. Dalsze w amfiladzie wzgórz, biegnących na północ. Samochody po wyładowaniu przywarły do ziemi, trzymając się wnek i parowów. Z tyłu nadjeżdżają wciąż nowe oddziały. Co chwila mijają nas kolumnki piechoty w helmach stalowych, uzbrojone „po zęby”. Idą na stanowiska.

Oddziały nadjeżdżają nieustannie. Żołnierz, który przybył wcześniej dostaje lżykę gorącej stawy. Pijemy właśnie herbatę, kiedy przychodzi wiadomość, że rozkaz bojowy gotów.

Dowódca brygady powziął decyzję. O 9 rano artyleria w sile czterech dywizjonów rozpoczyna ogień 20 minutowa nawała artyleryjska na stanowiska nieprzyjacielskie. Równocześnie pod osłoną ognia wyrusza piechota. Dwa bataliony w pierwszej linii, trzeci — osłaniający nasz biwak, w odwodzie. Przy oddziałach pierwszej linii baon ckm. Po zdobyciu nakazanych celów przez pierwszą linię batalion odwodowy wychodzi naprzód i prowadzi pościg za nieprzyjacielem. Pościg zmotoryzowany, bo na przestrzeni 70 km. Podwieziona na samochodach piechota uderzy na prawe skrzydło głównych umocnień nieprzyjaciela. Równocześnie brygada druga naszej dywizji wykona uderzenie czołowe.

Rozkaz jest napećniały szczegółami i każdy z dowódców otrzymuje dokładne dyspozycje. Tej nocy silniki warczały niemal aż do świtu — znak, że oddziały zajmowały stanowiska. Rano wszystko musi być „zapięte na ostatni guzik”.

BRYGADA W OGNIU

I jest. Punktualnie o 9 ostry świst przesywa powietrze. Pierwszy pocisk artyleryjski ugodził w cel. W ślad za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Powietrzem wstrząsa loskot wybuchów, a przed nami wśród stanowisk nieprzyjaciela wykwitają gejzery ziemi i okrucichw skalnych.

Idziemy w pierwszej linii natarcia. W lewo i w prawo bieżną trzymając się dna parowów kolumnki piechoty. Gdy wychodzą na otwartą płaszczyznę wszystko rozpierzcha się jak na komendę.

Artyleria strzela nieustannie. 25 funtówki grzmocą po celu, widzimy co chwila jak tarcze pozorujące gniazda oporu npla znikają — jedna po drugiej. Ale oto ckmny wtrącają swoje „trzy grosze” do walki. Nagle — zaszczełają ze wszystkich stron. Pod tarczami ukazuje się wstęga kurzu, która podnosi się i po chwili tarcze toną w szarym welonie.

Nad głowami warczą samoloty. Szorują nisko, muskając niemal czubki wzgórz. To nasze myśliwce.

Piechota posuwa się niestrudzenie naprzód, artyleria przenosi ogień na dalsze cele, ckmny zmieniają stanowiska. Od pewnego czasu słychać nad

głowami głuchy, niski gwizd. To młodziarze dają o sobie znak życia.

Godzina 9.40 — pierwsze stanowiska padły. Artyleria strzela już na dalsze. Czołowe kompanie pozostają na zdobytych stanowiskach, a odwodowe ruszają naprzód.

Przyjemnie jest patrzeć na sprawności i kondycję fizyczną żołnierzy. Wszystko pracuje jak jeden, dobrze wyregulowany aparat. Obok nas biegnie żołnierz z radiostacją na plecach. Dowódca kompanii trzymuje tą drogą rozkazy i melduje swemu dowódcy o sytuacji. Równocześnie instalowany jest telefon. Czerwony kabel rozwija się z wielkiego bębna niesionego na plecach przez jednego z żołnierzy. Łączność jest więc nie tylko zapewniona, ale i zabezpieczona.

Właśnie młody porucznik, dowódca kompanii, wywołuje dowódcę baonu. — Tu Hermes. Proszę połączyć mnie z Olimpem. Mam meldunek do Zeusa.

Przypuszczam, że czytelnicy rozumieją sens tej greckiej mitologii.

Jeden po drugim padają bastiony nieprzyjacielskie. O 11.30 zdobywamy ostatni. Jest to strome wzgórze, gęsto upstrzone tarczami. Oglądamy wierzchołek pagórka. Obraz zniszczenia. Leje po pociskach. Tarcze poprzetrącane, bądź podziurawione jak rzęszoto.

Ale już za nami rozlega się znajomy warkot. Słyszymy zbliżającą się kolumnę. Baon odwodowy rusza w pościg.

Lokujemy się w jednym z wozów i za chwilę wiatr ostro tnie po twarzy. Pędzimy znów w długiej kolumnie wśród stepu. Po bokach — jak eskorta honorowa, pękate pudła carryerów. W przódzie, przysadkowane ciągniki wlokące ze sobą dzialka ppanc. W tyle piechota.

3 MAJA W A. P. W.

Wszystkie oddziały Armii Polskiej na Wschodzie obchodziły tegoroczne Święto Narodowe 3 Maja pod znakiem skupienia i modłów za spokojny duszy towarzyszy i broni wspól-obywateli cywilnych, którzy padli na polu chwały, którzy ponieśli śmierć męczeńską we wrażeń kaźniach oraz na intencję tych, którzy cierpią poniewierze za drutami więzień i obozów koncentracyjnych do

Drugi numer „Parady”

Nadszedł już z Kairu drugi z kolei, wielkanocny numer „Parady” — ilustrowanego dwutygodnika Armii Polskiej na Wschodzie. Numer ten, oprócz bogatej oprawy graficznej, map najważniejszych odcinków frontu i licznych, doskonałych zdjęć z ostatnich wydarzeń wojennych, życia naszej armii i Polski okupowanej — przynosi interesującą, żywą, aktualną treść. Składają się na nią: przegląd ostatnich wydarzeń wojennych i politycznych, historia marszów i walk Brygady Karpackiej, „Kamienie Warszawy mówią” pjąra Mieroszewskiego, nowe zagadnienia lotnictwa wojennego w artykule Natansona p. t. „Czy lotnictwo wojenne przeobrazi pokój”, reportaże o życiu naszych uchodźców na Czarnym Łądzie, miły i ciekawy felieton o „Książkach. koniach i ludziach...”, wreszcie „Co piszą o nas inni” i kronika życia naszej armii. Numer zamakają piękne fotografie z naszych ziem wschodnich.

Mijają godziny pościgu. Wiatr łagodnie piekący żar wiosennego słońca. Step wokoło wygląda jak ogród pełen kwiatów.

O 15 rysują się na horyzoncie kontury wzgórz. O 16 stajemy przed nimi. Tutaj ma się znajdować główny bastion nieprzyjacielski. Batalion już wyluskał się z wozów, artyleria zajęła stanowiska, a carryery ubezpieczają nas „w jeża”. Wystarczy dać znak, a baon ruszy do walki.

Znak jednak nie pada. Przyjeżdża natomiast jeden z rozjemców z wiadomością, że ćwiczenia skończone. Wracamy do domu.

Wojsko zmęczone, niewyspane ale w doskonałych humorach. Ten i ów gasi pragnienie lykiem herbaty z mianerki. Słońce chyli się ku zachodowi.

Nie jesteśmy sami. Otaczają nas stada bocianów, które pracowicie dziobią kłębiąc się na ziemi roje dipiero co wylegają szarańczę. Są tego miliardy i bociany mają zapewniony wikt na czas dłuższy. Ta uczta przypomina nam jednak, że i nam przydałby się obiad, wobec czego szybko żegnamy stepowe pustkowie. Jeszcze godzina zmotoryzowanego marszu i dostrzegamy z daleka charakterystyczny profil naszej siedziby nad Tygrysem, która choć nie jest domem, stała się jednak bliska sercu żołnierskiemu. Różnymi drogami zmierzają kolumny wracające z ćwiczeń. Wsłuchujemy się w ich warkot i stuk. Suną w świetle zachodzącego słońca dziarsko, wesolo, beztronsko. Nasze wozy, nasi żołnierze. Dobre narzędzia i dobry fachowcy. Dobrze było na ćwiczeniach, daj Boże aby tak nam poszło na wojnie.

Wracamy ze świadomością, że Dywizja Karpacka potrafi użyć swego zbrojnego ramienia.

Witold Domański

tej chwili, lub niepewni dnia ani godziny trwają i walczą w rozproszeniu. W miejscu postoju dtwa Armii, w mszy połowej, którą odprawił ks. dziekan Brandys, wziął udział dea A. P. W. gen. Anders wraz z generalicją.

Po mszy św gen. Anders wygłosił przemówienie, w którym powiedział m. in. — „Jaka będzie Polska, o tym zdecydowanie naród polski. Na pewno naród nasz, który przeszedł lata udręki i niedoli, zdecydować dobrze. Ale nim będzie mógł to uczynić, musimy mieć Polskę. I dlatego dziś cały wysiłek wszystkich Polaków, gdziekolwiek są, musi się skupić koło jednego — żeby wywalczyć Polskę. Dlatego wszystko, co jest najlepsze, najuczciwsze, jest dziś w mundurze żołnierza. Ten wspólny wysiłek, do którego dążymy, imponuje światu, a nasi wielcy sprzymierzeńcy, kiedy mówią o narodzie polskim, patrzą na naszą armię nie tylko, jak na pewną ilość dywizji, ale jak na reprezentację narodu. A my mamy wszelkie dane, żeby być dumni z naszego narodu. Polak przedzierał się przez lasy i góry, płynął przez morza i szedł, by walczyć za Polskę. Przeszedł przez więzienie i tortury, przeszedł przez mękę a nie zatracił wiary w Polskę. To są tak wielkie wartości, których ani kupić ani dostać nie można, coś co tkwi w człowieku od wieków.”

Następnie gen. Anders przyjął defiladę oddziałów wojska i P. S. W. K.

RZĄDY MOCARSTW A ZASADA DEMOKRACJI

Wyraz „demokracja” jest terminem politycznym najczęściej używanym, najrzadziej precyzowanym. Używają tego słowa, jako charakterystyki swego kraju, zarówno obywatele angielski jak rząd sowiecki, choć wiadomo, że te dwa państwa nie są zbyt podobne do siebie w sensie ustroju politycznego, ani w ogóle. W każdym razie można powiedzieć, że demokracje państw, jest to takie, za jakie każde chciałoby uchodzić w oczach własnej ludności i opinii międzynarodowej. W wulgarnej grze politycznej demokracja zatracą swój głębszy sens: staje się synonimem mody, przyzwoitości politycznej, albo sumą wszelakich bliżej nie zbadanych cnot, składających się razem na pewną (ale jaką?) „postawę” wobec życia.

My tutaj będziemy przez demokrację rozumieli system poważnie rozumianej praworządności i faktycznego równouprawnienia jednostek i narodów, będący antytezą totalizmu.

Niektórzy nasi demokraci, gdy uzasadniają tezę, że Polska powinna być demokratyczna, lubią zaczynać od twierdzenia, że dawna szlachecka Rzeczpospolita dlatego właśnie upadła, że była niedemokratyczna. Teza ta jest i fałszywa i niepotrzebna. Fałszywa dlatego, że to wcale nie brak demokracji spowodował upadek Polski. Niepotrzebna, gdyż i bez podobnego objaśnienia można i należy wysuwać postulat demokratycznego ustroju państwowego przyszłej Polski.

Polska upadła nie dlatego, że była niedemokratyczna. W owym czasie i w innych krajach nie było przecież demokracji. Nie spowodowało to jednak upadku innych państw. Co więcej: państwa te pomimo niedemokratycznego ustroju politycznego doszły do trwałej potęgi. Dlaczego tak było w tych państwach, a dlaczego inaczej w Polsce?

Było tak dlatego, że w innych krajach była mocna władza, a u nas nie. Dlatego, że władza w Polsce uzależniona była od czynników obcych. Dlatego, że cała ówczesna Europa miała stałą armię, a Polska tylko pospolite ruszenie. Dlatego, że los dał innym krajom rentę geopolityczną, a nam dał przekleństwo geografii. I to są realne przyczyny upadku Rzeczypospolitej XVIII stulecia. A nie brak demokracji.

Gdy rzucimy okiem na dzieje Polski w latach 1918-1943 i będziemy starali się odpowiedzieć sobie na pytanie, czy istnieje związek pomiędzy rozwojem demokracji światowej, a pomyślnością polityczną narodu polskiego, to nie zdołamy znaleźć na to odpowiedzi w formie prostego „tak” albo „nie”. Żaden bowiem taki stały i prymitywny związek nie istnieje. W jednych wypadkach silniejsze napięcie w polityce światowej pierwiastków, zwanych demokratycznymi, dobrze służyło Polsce, w innych zaś wypadkach bynajmniej tak nie było, i kraje zaliczane do demokratycznych odmawiały Polsce elementarnej sprawiedliwości. Wynika to stąd, że sama demokracja przeżywała różne fazy rozwoju, którym odpowiadał rozmaity stosunek do spraw narodowych w ogóle, a do sprawy polskiej w szczególności.

Miarą i przykładem tych przemian olbrzymich ruchu demokratycznego może być pogląd socjalistów, czyli najradykałniejszych demokratów na sprawę polską. Karl Marx domagał się niepodległości

Polski, a Lenin, jego najwierniejszy uczeń, wkładał w pojęcie demokracji zupełnie już inną treść. „Demokraci” gdańscy wstrzymywali transporty broni dla broniącej się — świeżo narodzonej, a już zagrożonej — polskiej niepodległości. Róża Luksemburg uważała niepodległość Polski za „przesąd burżuazyjny.”

Ale nie trzeba szukać przykładów aż tak jaskrawych: można poprzestać na przemianach i wahanach pojęć w świecie kapitalistycznym, który również nagina pojęcie demokracji do swoich interesów politycznych.

W roku 1918 odzyskaliśmy niepodległość byt państwowy w atmosferze wyraźnie demokratycznej, która wówczas panowała w Europie i w świecie całym. Był to okres powszechnego uznania zasady równości wszystkich narodów, ideologii samostanowienia narodów. W zmęczonej przez wojnę i wykrawionej milionami ofiar ludzkości atmosfera ta była czymś naturalnym i zasada równości narodów nie mogła się być nie urodzić w chwili likwidacji wojny. Rzecz oczywista, że żaden naród nie uzyskał niepodległości wyłącznie wskutek panowania takiej czy innej atmosfery międzynarodowej — potrzebne tu były przede wszystkim tężyzna samego narodu i jego tradycje, własny jego czyn zbrojny i mądra narodowa polityka — ale faktem jest, że owe przesłanki międzynarodowo-ideologiczne stworzyły pomyślne warunki dla powstania nowych i odradzania się starych, upadłych państw. Tak było też z Polską. Czyn zbrojny Piłsudskiego i dokumentacja Dmowskiego znalazły takie pomyślne, ułatwiające sprzyjające warunki w postaci demokratycznej atmosfery wilsonowskiej, jaka zapanaowała po wielkiej wojnie lat 1914-1918, i Polska — zmartwychwstała.

Odrodzenie Polski w roku 1918 i zwycięstwo jej w roku 1920 nie były to jednak fakty, które by zapewniły jej równe traktowanie ze strony krajów, występujących pod hasłami demokratycznymi. Pamiętamy wszyscy, że w różnych momentach po wielkiej wojnie lat 1914-1918 państwa te były ożywione różnymi koncepcjami, jaskrawie przeczącymi zasadzie równości narodów. Wystarczy przypomnieć Locarno z r. 1925 i „pakt czterech” z r. 1934.

Przyszedł rok 1939. Niepodległość zagrabili nam Niemcy hitlerowskie — koncentrat antydemokratyzmu, uosobienie wszystkiego, co jest złem ludzkości, złem narodów wolności miłujących. Kraje, które przystąpiły do walki z Niemcami, broniły samych podstaw kultury demokratycznej. Służyły sprawie wszystkich ludów walczących o wolność. Także sprawie Polski.

Po katastrofie 1939 r. powstał nowy rząd polski we Francji. Rząd ten nawiązał bliską współpracę z Francją i Wielką Brytanią. Pierwsze walki, krępujące słowa o tym, że Polska będzie, pierwsza ta pomoc moralna dla Polaków, rozsyłanych po całym świecie, przyszły właśnie — nie jest to przypadek — z krajów wolności, z Zachodu Europy.

Gdy w roku 1940 padła Francja, rząd polski przeniósł się do Londynu i tam rozwinął swą działalność, związaną nadal mocnymi węzłami z wielkim narodem brytyjskim. Następnie nasza postawa międzynarodowa uległa dalszemu rozszerzeniu: weszliśmy

w bliskie stosunki i sojusze nie tylko z Anglią, lecz ze wszystkimi krajami walczącymi o wyzwolenie świata pod zawołaniem demokracji. Na tym odcinku widzimy również paralelizm pomiędzy tzw. polityką demokratyczną a pomyślnością narodu polskiego.

Ale oto przychodzą lata 1942-1943. W krajach demokratycznych pojawiają się bardzo oryginalne głosy „demokratyczne”. Lansuje się znowu myśl, że losami świata ma rządzić kilka największych mocarstw. Polska — według tych koncepcji — miałaby znaleźć się w orbicie rosyjskiego kierownictwa. Gdyż według tych „demokratycznych” pojęć ludy żyjące w środku i na wschodzie Europy nie mają widać prawa do życia swoim własnym życiem. Tutaj — na środkowym wschodzie Europy — przewodnikiem duchowym z ramienia niektórych zachodnio-europejskich pseudo-demokratów ma być demokracja szczególnego autoramentu.

Wielki mąż stanu Churchill w krótkim czasie po pojawieniu się tych głosów o rosyjskim przewodnictwie w Europie wschodniej — głosów, które zaniepokoiły Polskę i inne kraje europejskie — wygłosił mowę o równości narodów i o Radzie Europy. Wierzymy Churchillowi. Ale równocześnie nie wolno nam zapominać o znaczeniu „Times’a” w życiu politycznym Wielkiej Brytanii.

Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy można mówić jednym tchem: „demokracja” i „rządy czterech największych mocarstw”? Czy można być demokratą, to znaczy zwolennikiem równości w najgłębszym tego słowa znaczeniu, a równocześnie tworzyć koncepcje będące wyrazem moralno-politycznej nierówności narodów? Na to pytanie każdy szczerzy demokracja musi dać odpowiedź negatywną.

Prawda: narody nie są równe w sensie ludnościowym, terytorialnym, militarnym, gospodarczym. Ale te narody, które świadome są realnych praw rządzących polityką, to znaczy sztuką realizacji celów narodowych — narody mądre mądrością polityczną albo mądre instynktem narodowym — nigdy nie zrezygnują z przekonania, że moralno-polityczna równość największego mocarstwa i najmniejszego niepodległego kraiku jest nie naruszalnym prawem tego kraiku.

Oczywiście: nierówność materialna utrudnia walkę o równość moralną. Ale jej nie uniemożliwia. A więc nie wyłącza jej powodzenia. Co więcej: w pewnych warunkach postawa narodu w dużej mierze przesądza losy narodu, jak to powiedział w swym rozkazie generał Anders.

Dlatego Polska musi prowadzić politykę skierowaną przeciwko koncepcji rosyjskiego, czy niemieckiego, czy jakiegokolwiek innego przewodnictwa, które by zmniejszało jej samodzielność. Polska może rządzić tylko rząd polski. Nikt inny. Ani w formach jawnych, ani w formach zamaskowanych. I to jest istota

rzeczy. Z tej istoty rzeczy trzeba dedukować całą politykę polską.

Jeżeli znajdą się demokraci, którzy będą zdania, że kraj domagający się absolutnej równości moralno-politycznej wszystkich narodów działania niestusnie, to trzeba stwierdzić, że są to demokraci w cudzysłowie, że nie rozumieją, co to jest demokracja. Albowiem jednym z podstawowych elementów pojęcia prawdziwej demokracji jest właśnie równość narodów w omówionym przez nas sensie. Nie jest demokratą ten, kto chce ustalić czyj bądź „leadership” w Europie środkowo-wschodniej, nie jest również demokratą ten, kto „radzi” Polsce odstąpienie polskich ziem wschodnich. Bo „leadership” to półzabór całej Polski, a owo „odstąpienie” — to po prostu zabór połowy Polski.

Przyszła Polska powinna być rzeczpospolitą wolnych, pełnoprawnych, równouprawnionych ludzi. To znaczy, powinna być demokratyczna. Ale i cały świat powinien być demokratyczny w uczciwym i poważnym tego słowa znaczeniu. A to znaczy, że ani Polska — ani żaden inny kraj — nie mogą być przedmiotem żadnego zaboru, ani kierownictwa, że każdy kraj, który tego realnie chce, musi żyć własnym życiem w atmosferze zupełnej i faktycznej suwerenności. Chodzi o prawdziwą demokrację. Chodzi o powszechną demokrację.

I jeszcze jedno. Niektórzy nasi demokraci interpretują pojęcie demokracji w sposób całkowicie fałszywy. Demokracja przybiera w ich rozumieniu kształt czy to frazesu, czy demagogii, czy wręcz „pięknoduchowego” magazjstwa w dziedzinie metod obrony uprawnionych interesów polskich. Prowadzi to — oczywiście wbrew intencjom — do bezzsiły państwa. A u nas, po stórkoch bardziej niż gdzie indziej, potrzebna jest siła państwa, jego stała gotowość do obrony, jego maksymalna zdolność obronna. Trzeba budować tę siłę tworząc mądrą demokrację, unikając fetysza demokratycznego. Polska nie może poświęcić swej sily dla żadnego względu na świecie. Stałe budowanie sily jest dla Polski rzeczą tak samo ważną i pod politycznym kątem widzenia specyficzną, jak konsekwentne przestrzeganie neutralności dla Szwajcarii, jak wiązanie się szczerpów niemieckich w jedną całość państwową dla Rzeszy, jak dbałość o równowagę sily na kontynencie europejskim dla Anglii, jak pogłębianie strategii rewolucyjnej dla Związku Sowieckiego. Budowanie sily państwa polskiego jest przedwstępny warunkiem tego, aby naród polski mógł bezpiecznie istnieć, spokojnie rozwijać się i pełnić swą dziejową misję kulturalną. Inaczej tej sprawy ujmować nie można i nie wolno. Bo Polska leży między Rosją i Niemcami.

Polska będzie demokratyczna.

Chodzi jednak o to, aby demokracja była uczciwie rozumiana nie tylko przez Polaków, ale i przez inne narody. Szanse zaś upowszechnienia tej uczciwości w pojmowaniu demokracji i zapewnienia Polsce sprawiedliwości będą tym większe, im bardziej Polska oddalać się będzie od tego, co jest demokracją frazesu i naiwności, im bardziej zbliżać się do tego, co można by nazwać demokracją sily.

Stanisław Zarzewski

BITWA POD MŁAWĄ

Sierpień 1939 roku w Płońskim, Ciechanowskim i Mławskim był — jak zresztą i w całej Polsce — prześliczny. Z jasno-błękitnego nieba polskiego słońce posyłało błęgosławienstwo swych promieni. Ziemia pokryta była — jak oko sięga — złotym zbożem, które gdy były lekkie nawet podmuchy wiatru, ciężko falowało tworząc srebrzyste grzbiecienie. Między łanami zboża polańskie kartofli odbijały ciemną zielenią. W lasach ciszczyły plamy słońca. W sadach ciężono się patrząc na nowe owoce. W końcu miesiąca jesień zaczęła barwić klonowe, brzozone i kasztanowe laski, zagajniki i drzewa przydrożne na złoto i czerwien...

W miastach jednak z trwogą spoglądano na krzyżacką granicę. Bowiem z tej granicy tyle już razy, zakuci w żelazo zbroje najeżdżali tę prastarą ziemię polską, a ziemia ta jeźdźca wtedy, lany kładły się pod kopytami koni, a wieś i miasteczka szły z dymem, oświetlając niebo czerwona łuna. To też i teraz głuche wieści o możliwości nowej pozycji wojennej zaszepiły oblicza ludzi. Poczieszano się jednak, że ot, może jakoś to przejdzie. Kmieć polski z niewzruszonym spokojem orał swe lany i siał ożmienie.

Tak oto powoli upływał ostatni spokojny dla Polski miesiąc. W końcu sierpnia bandy Niemców zaczęły się wdzierać na naszą stronę granicy; pojedyncze strzały odbijały się głośnym echem od lasów, tam i ówdzie zaczęły padać trupy polskich strażników i niemieckich zbirów. Granica oznaczona kamiennymi słupami, z znaczącym napisem na każdym słupku: „Versailles 19. VI. 1919” zaczęła krwawić naprawdę...

Niemniej i teraz jeszcze w możliwość wybuchu wojny nie bardzo wierzono. „Jakoś tam będzie” — myślano po polsku. Wieczorem 31 sierpnia klucz samolotów niemieckich przecieł granicę polską wysoko nad Mławą i rysując biały dym nad czystym niebem jakieś tajemnicze znaki długo krążył nad okolicą. W nocy reflektory umieszczone na pagórkach i wzniesieniach po tamtej stronie granicy zaczęły bezszeltestnie — jak widma — pełzać i weszły po lasach, łąkach, polach i wsiach polskiej ziemi. Oślepiając, biało-niebieskawe ich smugi szperały po stokach, zatrzymywały się w zagłębieniach terenu, gasły, aby po chwili uderzyć tajemniczym snopem światła w innym kierunku. A jednak jeszcze wierzono, że W. Brytania i Francja nie dopuszczą do wojny.

Dopiero świt 1 września rozchwał te złudzenia. Ostatnią noc „czasów pokojowych” spędziłem w dowództwie batalionu, umieszczonym we dworze, właściciele którego już się wyprowadzili. Wszystkie oddziały naszej dywizji były już w okopach od kilku dni, były tam jednak raczej pro forma, ot, tak sobie, na wszelki wypadek. Dopiero, gdy usłyszałem głuche wybuchy pocisków artylerii, zdałem sobie sprawę, że jest... wojna. Pobiegłem z adiutantem batalionu ppor. M. na punkt obserwacyjny. Mgła zaścielała jeszcze łąki. Ponad nisko ścielącymi się nad ziemią białymi jej smugami, były widoczne wierzchołki lasów. We mgle od czasu do czasu można było dostrzec błyski wybuchów.

Tak oto i dla naszego 80 pułku piechoty, wchodzącego w skład 20 dyw. piech. zaczęły się działania. Była godzina 5 rano.

Całe szczęście, że stanowiska obronne dywizji, robione od połowy lipca, mimo wszystko były wykonywane umiejętnie i solidnie. Niestety, całości prac nie ukończono. Wszystkie stanowiska broni maszynowej były już w betonowych schronach i doskonale flankowały zygaski okopów, jeszcze jednak dalekich od doskonałości. Stanowiska dowódców były dopiero w projekcie, rowy zaś dobiegowe i łącznikowe były zbyt płytkie. Natomiast przeszkody z drutu kolczastego, a zwłaszcza przeszkody ppanc., wykonane w wielu miejscach z szyn kolejowych, były na wysokości swego zadania.

Linia obronna naszego pułku znajdowała się między stanowiskami

mie tumany piasku i kurzu — przez które można było patrzeć na słońce — powodowały minimalne straty. Bowiem odłamki pocisków, które padały nawet tuż przy rowach, leciały górą. Nasza artyleria od razu zaczęła odpowiadać. Biła nadszczajaj sprawnie i celnie. Około południa ogień artylerii niemieckiej stał się tak silny, że odgłosy strzałów i wybuchów zlały się w jedno niesamowite i przeciągłe wycie.

Dopiero wtedy niemiecka piechota zaczęła przekraczać granicę w większej ilości. Niemcy szli grupami nie robiąc skoków. Przed piechotą błyszcąc na słońcu stalowymi pancerzami pelży czołgi. Ruch ten był jednak sprawny tak długo, jak długo nasza artyleria nie strzelała ze względu na dużą odległość. Z chwilą, gdy masy piechoty niemieckiej znalazły się w zasięgu naszego ognia, natych-

wprost potwornej siły. Zdawało się, że ziemia lecąca w powietrze zasypie nas; łączność telefoniczna do dowódców kompanii i do dowódcy pułku rwała się co minutę. Bywały długie kwadransy, gdy byłem zupełnie odosobniony, pomimo tego, że mój punkt obserwacyjny był w odległości 300 m za pierwszą linią. Czarna ściana tworzona przez fontanny ziemi zasłaniała bowiem literalnie wszystko. Lecz oto nawała, jak wszystko niszczący huragan przelatywała, znowu ukazywało się słońce, my zaś mogliśmy obserwować kłębiący się wulkan tryskający w górę ziemi, o kilometr w prawo lub w lewo, albo też i z tyłu. Żołnierze, jak ludzki, którzy trafili w ulowę, otrząsali się jednak nie z wody, lecz z ziemi i piasku. Kłnąc Niemców brali się do czyszczenia karabinów.

Straty? Gdy po naprawieniu telefonu — co ze zdumiewającym bohaterstwem robił plut. łączności batalionu — pytałem o to dowódców kompanii, przychodziły meldunki o... 1-2 zabitych i 2-3 rannych na kompanię. Tak! Zygaskowała linia zwykłych rowów strzeleckich, dobrze zamaskowana w terenie, chroń prawie w stu procentach przed przykrym zetknięciem się czaszki żołnierza z odłamekami żelaza. W takich wypadkach żołnierz powinien przycisnąć się do przedniej ściany rowu, ustawić karabin tak, aby się nie zapiaszczył (najlepiej wziąć go pomiędzy nogi pionowo) i wtedy może spokojnie marzyć o pannie Maryni. I. kompanię strzelecką dotknęła jednak bolesna strata. Dca komp., kpt. B. i szef kompanii st. sierż. M. — obaj wspaniali żołnierze — zostali ciężko ranni.

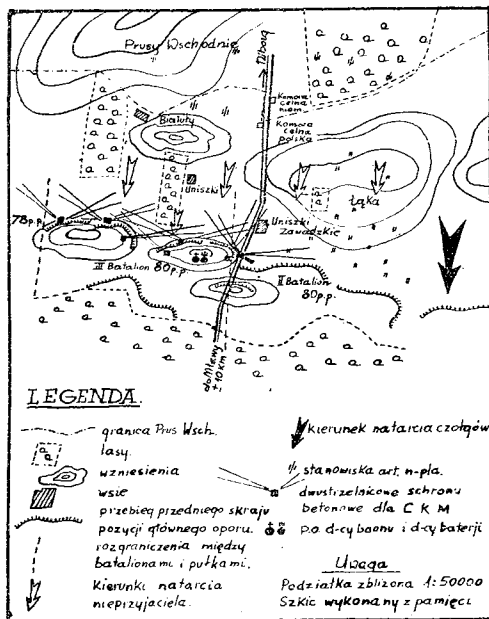
Pod wieczór zobaczyliśmy kilka eskadr niemieckich bombowców, lecących z groźnym warkotem w kierunku Warszawy. Gdy eskadry te wracały tym samym szlakiem powietrznym i w tym samym szlaku bojowym, nastąpił nowy wybuch entuzjazmu. Bowiem w każdej eskadrze brakowało po jednym, albo i po dwa bombowce. O tym, jaki krwawy bandytyzm nad bezbronym miastem uprawiały te samoloty, nie było nam jeszcze wiadomo.

Powoli upływał pierwszy dzień obrony. Na przedpolu wszystko płonęło: domy, osiedla, stodoły, kopiec siana i zboża — wszystko to było w ogniu, podpalone bezmyślnie przez Niemców. Dalekie horyzonty powoli zaczęły się zaciągać dymem.

Gdy zapadł zmierzch... Właściwie trudno było w dniu tym mówić o zmierzchu. Bowiem wszystko było oświetlone ciemno-czerwonym światłem. Korzystając z tego swoistego oświetlenia Niemcy znowu zaczęli ruch naprzód. Był to ponury ruch czarnych i ciemno-czerwonych cieni. Cienie te szły „rojami”. Roje łączyły się w długie smugi. Cienie szły, padały, znowu powstawały, wyracały się; szeregi ich w bliskich naszych wybuchów kruszyły się powoli, lecz cienie szły dalej. Z ich szeregów leciały w naszym kierunku setki tysięcy czerwonych, świecących się nici. Były to wiązki świetlnych pocisków broni maszynowej. Nici te jednak przelatywały wysoko ponad nami i ginęły w lasach z tyłu położonych. Niemcy strzelali niecelnie.

Arnold Jaskłowski

(Dalszy ciąg nastąpi)



Szkic sytuacyjny bitwy pod Mławą

78 p. p. na lewo i 79 p. p. na prawo. Na przedpolu ciągnęły się szerokie monotonne łąki, małe laski, bagienka, wzniesienia i małe wioski. Granica Prus Wschodnich biegła krętą linią przed naszymi stanowiskami w odległości od 2 do 4 km. Pozycja pułku opierała się o duże lasy mławskie. Za lasami leżała Mława. Przez las a następnie przez stanowiska pułku, prowadziła szosa z Mławy na Niborg.

Otóż w tym strasnym dla Polski dniu, o godzinie 4 rano, że stanowisk położonych po tamtej stronie granicy, Niemcy otworzyli do nas ogień artylerii. Początkowo stały ogień, jak gdyby macał nas, szukał wrażliwych miejsc i weszły w terenie. Po upływie 2-3 godzin tego macania, artyleria niemiecka wstrzelała się. Pociski jej zaczęły się spychać w bezpośrednim pobliżu okopów. Wtedy raz jeszcze przekonaliśmy się, co znaczy zygaskowały row strzelecki biegnący wśród nierówności ziemi. Straszliwe nawały ognia i żelaza, które zaczęły walić w nasz batalion wzniciając olbrzy-

miast zaległy i do zmroku już nie powstały. Czołgi pokręciły się nieco i zaczęły zawracać. Przez lornetkę widziałem dokładnie, jak ich cielska połyskując w słońcu wykrcęwały się i znikwały w „martwych polach”. Władok ten był tak wspaniały dla naszych oczu, że żołnierze w okopach, pełni entuzjazmu, zaczęli krzyżeć pod adresem dcy baterii, kpt. K., będącego w pobliżu na punkcie obserwacyjnym swej baterii: „Niech żyje polska artyleria!”. Gdyby nie okopy i nie ogień nieprzyjaciela, prawdopodobnie zaczęliby go podzierać do góry.

Niemcy jednak przekonawszy się, że ta masa żelaza, która została wypuszczona na nas, celu swego nie osiągnęła, rozpoczęli ze zdwojona siłą ogień artylerii. Równocześnie ich ciężkie działa zaczęły bić po stanowiskach naszych baterii. W nielicznych chwilach między wybuchami słychać było groźny szmer ciężkich pocisków, lecących gdzieś w lasy, położone za nami, a także poza te lasy.

Po południu nawały ognia nabrały



Kilkakrotnie już spotykałem na łamach prasy artykuły o życiu naszej młodzieży męskiej, natomiast brak było dotąd informacji o dziewczętach, które chociaż mniej liczne od chłopców, stanowią przecież sporą grupę na Środkowym Wschodzie. Są to nasze córki, siostry, dzieci naszych krewnych i znajomych, a w każdym razie jest to pokolenie, które będzie budować Polskę po zwycięstwie.

Moje spostrzeżenia i uwagi o życiu i pracy uczącej się młodzieży żeńskiej nie będą wszechstronne, nie dziwnego: znam je jedynie z krótkiej stosunkowo obserwacji, z rozmów z uczennicami i z przebywania w świetlicy obozowej.

Ośrodkiem kształtowania się umysłów i dusz polskich dziewcząt jest Rehovoth, schludne miasteczko położone 30 km od Tel-Awiv'u w kierunku południowym. Niemal ze wszystkich stron otoczony jest obóz wspaniałymi, wiecznie zielonymi sadami pomarańczowymi, jak obrazek ramką. Baraki, choć z desek, zbudowane są estetycznie. Obok kwiaty i kwitnące krzewy. Między barakami chodniki. W tych szarych, długich barakach mieszają, uczą się i kochają wszystko, co piękne i dobre — nasze polskie dziewczęta. Przybyły tutaj po ciężkich przeżyciach z Rosji. Czekają na błogostawiony czas, w którym będą mogły po zwycięskim marszu naszego wojska wrócić do ukochanej ziemi. A tymczasem uczą się.

Nie zobaczysz w obczie typowej dla czasów przedwojennych uczennicy ze wstążeczkami w warkoczach, w fasonowo nałożonym berecie ze znaczkiem gimnazjalnym i tecką wypchaną książkami i kanapkami na drugie śniadanie. Bo przecież wszystkie one są w wojsku (młodsza ochotniczka — oto jej pełny stopień wojskowy) — nie wypada nosić wstążek. A secundo: wlosy po rosyjskim tysiące zaledwie odrosły i są jeszcze za krótkie, aby można było splatać warkocze. O berecie też nie ma mowy; wszystkie są jednakowo umundurowane w zielone frence i takież spodniczki. Zamiast beretów ze znaczkami noszą furażerki z orzełkami, tak jak i my, i bardzo im w nich do twarzy.

W ogóle poza ramami zajęć szkolnych przypominają wojsko. Zbiorki, raporty „na prawo i lewo patrz”, „melduję”, wspólna modlitwa, wspólne kąpielnia, pobudki i capstrzyki oraz groźna służbowa z białą opaską na lewym rękawie, słowem: szkolne dziewczęce wojsko.

Są tam: gimnazjum i liceum, zorganizowane dopiero w połowie stycznia b. r. oraz starsze klasy szkoły powszechnej. Z unundurowania jednakże tego podziału nie widać. Jedna z licealistek Hanka P. mówiła mi wprawdzie, że „my będziemy nosiły biało-czerwone sznurki wokół naramienników podobnie jak uczniowie (elewi) szkół podchorążych”. Ciekaw jestem, czy spełniły się ich życzenia.

Lekcje odbywają się w barakach, w warunkach trudnych z braku dostatecznego wyposażenia w sprzęt i meble szkolne. Dotkliwie odbija się na pracy zarówno nauczycielstwa jak i uczennic brak polskich podręczników, map i innych pomocy naukowych. Ostatnio ukazały się polskie podręczniki do nauki języka łacińskiego, geografii, historii — niebawem ukazać się mają inne. Jedyna historia literatury polskiej Chrzast-

nowskiego, przywieziona z Rosji, jest tam ceniona jak biblia Gutenberga w Pelplinie. Nic w tym dziwnego. Ale pomimo braku podręczników polskich praca nad zrealizowaniem programu nauczania daje pomyślne rezultaty. Pracowita kadra nauczycielska wyszukuje stare strzyżby polskich podręczników, przechowywanych przez okres naszej tułaczki, tłumaczy obce książki szkolne, korzysta z angielskich map i atlasów, zapalając w pewnej mierze kolosalne luki istniejące w dziedzinie pomocy naukowych. Całe szczęście, że w Palestynie łatwo jest o materiały piśmienne, kiedy w Rosji i tych materiałów było brak.

Świetlica obozowa, o której już wspominałem jest miejscem, gdzie po zajęciach klasowych spotkać można pilne uczennice przy odrabianiu tzw. prac domowych. Szepoty wypowiadanych słów: the boy, a girl, a woman etc. wskazują na to, że największą trudność sprawia wymowa angielskiego. „Ale my jednak nauczymy się mówić po angielsku...” powiedziała z uporem przedstawicielka najpóźniejszych, Basia, uczennica trzeciej gimnazjalnej.

Obok pilnych spotkasz i mniej

pilne uczennice, które przychodzą do świetlicy na radio, namiętnie kręcąc wszystkimi pokrętkami aparatu w poszukiwaniu muzyki. Czytają pisma i dzienniki, oglądają ilustracje. W ogóle wydawnictw prasowych polskich i obcych jest tu obfitość, dotychczas nie spotkałem ich tyle w żadnej innej świetlicy polskiej Krąg zainteresowań sztubaczki polskiej kolosalnie się zmienił w porównaniu do czasów przedwojennych. Po prostu warunki obecne i chwile przeżyte w niedostatku i niepewności jutra zmusiły prawie każdą do interesowania się wojną i polityką. Jak wygląda front wschodni?, co słychać w Kraju?, zbrojenia aliantów, bombardowania R A F'u — oto zagadnienia nurtujące jej umysł, podobnie jak każdego żołnierza.

Ciekawy jestem, jaki rodzaj lektury przeżywałby, gdyby łatwo można było dostać polskie powieści i romanse, tak bardzo absorbujące umysł i serce dziewczyny.

Obok tych dwóch grup spotkasz w świetlicy trzecią, zajęta listami i zdjęciami, pamiętnikarstwem i albumami. Związanie się w świetlicy biało-czerwonych lub srebrnych sznurków wywołuje wśród nich za-

interesowanie i pociąga spojrzem śmiejących się oczu. I to jest wszystko bardzo mile.

Obok jadalni jest duże kino, w którym nierzadko bywają polskie filmy. Gros publiczności stanowią uczniowie gimnazjum i liceum. Nie ulega wątpliwości, że w wychowaniu młodzieży dobry film odgrywa pozytywne rolę.

Potrąfiają nasze dziewczęta nie tylko głęboko kochać Polskę, tęsknić za rodzinną ziemią i najbliższymi, umiennie dać temu wyraz w formie literackiej. Czytałem kilka utworów wierszowanych o ułanach jadących do boju o Naczelnym Wodzu, o zwycięstwach nad Niemcami, o życiu Polaków w tajdze. Napisane były do gazetki, ściennie przez uczennicę 5. czy też do oddziału szkoły powszechnej i posiadały głęboką zawartość ideową. Mówiła mi jedna z nauczycielek, że takich domorostych poetek i powieściopisarek jest więcej. Przypomniała mi się, że niegdyś napisałem pierwszy swój wiersz również będąc w oddziale „powszechniaku” a te tematyka jego nie była tak poważna... Był to paszkwil na mego ciocięznanego brata, z którym aż do czasów gimnazjalnych darłem koty...

Polskie szkoły żeńskie w Rehovoth są kuźnią, gdzie wykuwane są dzięki zapałowi podwładnych i poświęceniu przelożonych wartościowe charaktery i światłe umysły, tak bardzo potrzebne państwu i narodowi polskiemu po zwycięskim powrocie do ojczyzny.

Mród Lucjan

II NAGRODA NA KONKURSE „ORLA BIAŁEGO”

S Ł U Ż B A T R A N S P O R T O W A

Na początku dwa słowa objaśnienia i jedna kropla gorczy.

Nie wszyscy zapewne wiedzą o czym mowa w tytule, inni myślą (stad moja gorzyc) o ponurym słowie tabory. Kiedy słyszą to słowo, kojarzą się im zapewne w myślach niekończące się korowody konnych wozów, ciężko ładowanych, wlokących się krok za krokiem, dzień za dniem, jakby bez celu. Powolnie karawany łamujące ruch, zawałające drogi, rozpacz dowódców, przekleństwo żołnierza. Tak było dawno w 1918-1920, tak było jeszcze do 1939 u nas i tak nie jest już dziś. Między wczoraj a dziś wyrosła przepaść. Niestety skostniałe umysły, nie dowiadujące się, ani nie interesujące dookolnym światem wojny, w której żyją już lat 3 (to nie mało) — miela w zębach bezmyślne słowo z piekła rodem — TABORY. „Transportowców” to boli. Nowoczesna służba Zaop. i Transp., posługująca się pojazdem mechanicznym, silnikiem, to uosobienie nowoczesnej szybkości, manewru, ruchu, to szybkość, obliczenie, to setki, tysiące kilometrów trasy przebywanej metodycznie, planowo. To pewność, oparcie, możliwość prowadzenia totalnej walki ruchomej przez czołowe oddziały, zasilane bez przerwy, w dzień i w nocy, w ogniu i spokoju przez oddziały Zaopatrzenia i Transportu. I jeszcze jedno. Do lamusa starych rupieci należy wyrzucić, wygnać nieledwie pojciej: linii. Nie ma linii stałej, podobnej do sławnych pozycji z wojny 1914-1918. Nawet w Rosji są tylko jakby zarysy linii, system gniazd oporu, zmianianych i stale się przesuujących: w przód, w tył. Wojna totalna to ruch. Czołgi, samoloty, piechota zmo-

toryzowana i my transportówka — jej podstawowe elementy. W baczcie ten przydługi wstęp zrodzony z gorzycy, niezrozumienia i niezajomości, z jaką często się niestety spotykamy.

Nasz dzień zaczyna się od pobudki. Nie, o tym stanowczo pisać nie będę, bo to są chwile denerwujące każdego żołnierza, autora również. Uniknę też opisu zbiorek, odpraw, słoików i wytwornych uwag szefów, jako znanych, opisanych a stale wywołujących słusne oburzenie u stojących w szeregu słuchaczy. Lepiej niebezpiecznych tematów nie dotykać.

Nasz dzień stoi pod znakiem pracy. To nadużyte słowo, stare jak świat, wypowiadał jak nasze ptaszce i mundury — niewiele mówi. Pozornie. Czyż mi uwierzyć, jeśli powiem, że transportówka jako nowa w naszej armii służba pracuje ostro, w przyspieszonym tempie, od rana do nocy i bardzo często w nocy.

Pracujemy bez przesady jak szaleni. Codziennie o świcie ruszają konwoje by nawet do oznaczonych punktów henzyne, żywność i amunicję, codziennie nasze kolumny dowożą i zaopatrują powierzone im do obsługi oddziały naszych jednostek. „Transportówka” pracuje dla dywizji, dla brygad, wreszcie dla siebie.

Dozostali w oddziale, którzy jeszcze nie jeżdżą, wypełniają „sale wykładowe” o płciennych ścianach i dachach i zapoznają się z tajemnicą warczącego silnika. Inne znowu grupy doskonalały swe wiadomości na wykładach administracji i gospodarki benzyną, amunicją, żywnością i sprzętem samochodowym oraz szkołą dobrych mechaników warsztatowych — „repiśtów”, którzy po wojnie z nabytym w wojsku tuchem spokoj-

nie będą mogli pracować w życiu cywilnym, jako doświadczeni specjaliści. Zapoznają się z metodami pracy Anglików, którzy w dziedzinie zaopatrzenia i transportu słusznie za mistrzów mogą uchodzić.

Poznajam jeszcze normalne ćwiczenia i zapoznanie się z bronią. Już w czasie pokoju najwyższe władze angielskiej, królewskiej służby Zaop. i Transportu planują i oceniają potrzeby przyszłej wojny. Na ich wniosek reguluje się produkcję, wpływa na zakładanie odpowiednich plantacji warzyw, tytoniu, hodowli bydła. Kontroluje i czuwa nad fabrykacją np. konserw. Słowem myśli o tym, co żołnierz będzie jadł i zużywał w czasie wojny. W czasie zaś już samej wojny dowództwa RASCu planują i przygotowują zaopatrzenie armii, która po ukończeniu tych prac — może rozpocząć operację.

Jeśli pochyleni nad gazetą, z uwagą i przejęciem śledzimy posuwanie się VIII armii gen. Montgomery i Alexandra, jeśli dziwny jest jej szybki ruchom, manewrom, to musimy sobie po prostu uświadomić, że angielska transportówka RASC, rekrutująca się z najzdolniejszych i najinteligentniejszych dowódców i żołnierzy odnosi w tej ofensywie sukcesy nierzwykłe i niebawem, pokonywując niesłychane wprost trudności terenu (pustynia i odległość). Setki, tysiące kilometrów. Te tysiące kilometrów dróg dzień za dniem przebywają długie kolumny transportowe w nie kończącym się marszu, w nie kończącej się ginącej w tumanach bamsinu i mgieł drodze. Dniem i nocą nawet podciągają pod samą pozycję nieomal amunicję, żywność, wodę,

(Dokończenie na str. 7)

Śmiech NA Pustyni

Pustynia na każdego z nas, mieszkańców krain pełnych zieleni i wody, wywiera wrażenie smutne i przynębiające. Nic dziwnego, że o jej mieszkańcach wyrabiamy sobie sąd, iż są oni pełni tragizmu. Nic fałszywszego, niż taka opinia.

Beduin ma duże poczucie humoru i umie dostrzec komiczną stronę rzeczy. Umie podchwytować różne śmieszności, zwłaszcza u obcych. Postawiony wobec Europejczyka robi na początku wrażenie głupaka, który nigdy nie pracował mózgiem. Ale dajcie tylko temu mózgowi okazję, okaże się pierwszorzędnym instrumentem myślenia.

Jeden z angielskich administratorów, mający dużo do czynienia z Beduinami, powiedział, że każda ustawa przed wniesieniem jej na forum parlamentarnym, należałoby wypróbować wśród Beduinów. A oni szybciej wykryją w niej błędy, niż najwytrawniejsi eksperci prawni. Europejczycy przeważnie nie rozumieją Beduina. Tak samo i Beduin nie rozumie dróg myślowych Europejczyka. Wychodzą z tego sytuacji — nieraz bardzo zabawne.

Pewien posterunek policji na pustyni posiadał stadko 19 owiec, których dozorował pasterz, mający opinię skończoności idioty. Pewnego razu szef posterunku dokonał inspekcji stadka i znalazł w nim tylko osiemnaście owiec. — Gdzie jest dziewiętnaśmia owca? — woła z oburzeniem. — A chodzi między innymi — odpowiada za zimną krwią pasterz. — Przecież jest tylko osiemnaście... — Tak jest effendi, osiemnaście.

— A było przedtem dziewiętnaście? — Tak jest, effendi, było dziewiętnaście.

— Więc gdzie jest dziewiętnaśmia? — Chodzi pomiędzy innymi — odpowiada spokojnie pasterz.

Anglik widząc, że pasterz nie rozumie w czym rzecz, woła dziewiętnaśmiu policjantów i każe im chwycić owce. W rezultacie jeden z nich zostaje z pustymi rękami.

—Widzisz — powiada — dziewiętnaśmiu policjant nie ma owcy.

— A czemu nie starał się jej złapać, jak było ich dużo w stadzie? — rzecze niewzruszenie pasterz.

I co z takim zrobić?

Gubernator pustyni Synai udał się pewnego razu samochodem na objazd posterunków i po drodze samochód popsuł mu się.

Na szczęście (jak mu się zdawało) przypomniał sobie, że niedaleko znajduje się eksploatacja manganu i że tam mają samochód.

Udał się tam co prędzej, lecz nikt go nie zastał w domu tylko „ghafira”, czyli arabskiego strażnika. — Czy panowie zabrali samochód? — pyta, po wymianie odpowiednich grzeczności. — Nie, effendi.

— Czy jest popsuty?

— Nie, jest zupełnie w porządku.

— I można nim jechać?

— Można.

— Otwórz garaż!

Gbafir otworzył garaż i okazało się, że samochód jest bez kół, które właściciele przed wyjazdem zdjęli i dobrze schowali. — Więc dlaczego mówisz — woła nie posiadając się z gniewu gubernator — że samochód

nie jest popsuty, jeżeli nie ma kół? — Samochód nie jest popsuty, a o koła panie, nie pytałeś — brzmiała odpowiedź.

Pewnego razu do urzędnika angielskiego w Pustyni Zachodniej przybył wybitny znawca fauny pustynnej. Interesował się on zwyczajami cietrzewia piaskowego, o którym powiadają, że wysiaduje młode o kilkaset kilometrów od wody. Zawołano tedy miejscowego Beduina, który miał sławę znakomitego myśliwego i znawcy zwierzyny. Polował on nieraz z Anglikami i zawsze był w kłopotcie, gdyż nigdy nie wiedział, kiedy oni żartują a kiedy mówią serio. — Czy to prawda, pyta uczony — że samica cietrzewia wysiaduje młode na pustyni, bardzo daleko od wody?

— Prawda, panie.

— I czy to prawda, że przynosi im wodę ze źródła?

— Tak jest, panie.

— Jak ona to robi?

Pytanie, aż się prosi, żeby na nie odpowiedzieć dowcipem. Czyżby ten obcy „basza” nie mógł się domyśleć, że ptak ma na takie cele, jak przyniesienie wody, dziób.

— Używa do tego buteleczki — odparł śmiejąc się od ucha do ucha.

I nie mógł potem zrozumieć, czemu ten obcy „basza” tak strasznie się złości.

Wśród Beduinów opowiadają następującą aegodę: Pewien Beduin spotkał na drodze swego znajomego i spytał go, dokąd idzie.

— Do miasta, żeby kupić osła — odparł zapytany.

— Powiedz „Incz Allah**”), jak przystało prawowiernemu — skarcił go znajomy.

— Tu nie ma żadnego „Incz Allah” w tej sprawie — brzmiała odpowiedź — osioł jest na rynku a pieniądze na jego kupno mam w rękawie.

Gdy przyszedł na rynek jakiś złodziejaszek skradł mu pieniądze. Wracając do domu spotkał znów tego samego znajomego, który go zapytał skąd wraca Odpart: „Z rynku, Incz Allah. Pieniądze mi skradziono Incz Allah. Dlatego nie kupilem osła Incz Allah. Wracam do domu zawiędzony i obrabowany Incz Allah.”

Beduini są bardzo niedbali, jeżeli chodzi o utrzymywanie w należytym porządku studzien pustynnych, od których zależy ich egzystencja. Woda w nich jest zanieczyszczona odchodami bydłocymi, kamienne ocmobrowanie bywa bezmyślnie zwalane do studni i nieraz w rezultacie takiego obchodzenia się ze studnią staje się ona zupełnie nie do użytku, zwłaszcza w okresie suszy, kiedy jest najbardziej potrzebna. Anglicy pragnęli zaradzić temu stanowi rzeczy budując solidne, betonowe studnie nakryte daszkami. Znajomy, który mi to opowiadał, wybudował w swym dystrykcie piękną studnię, a obawiając się (i słusznie) o jej los, postawił przy niej na straży „ghafira”. Była to osobistość wzbudzająca ogromny respekt wśród koczowniczo. Ghafir ten bowiem nie chodził boszo, tylko nosił złote trzewiki i wspaniałe fioletowe skarpetki, które ozdabiał czerwonymi podwiąkami; groźną, brodatą twarz ozdabiał wspaniale hełm trypikalny, datujący się jeszcze z ubiegłej wojny Dopełniała stroju podarta marynarka narzucona na długą

(Dalszy ciąg na str. 8)

*) Incz Allah — o ile się tak Bogu podobą — mówi każdy muzułmanin opowiadając o swych zamiarach.

ŚLUŻBA TRANSPORTOWA

(Dokończenie ze str. 6)

benzynę, sprzęt, części zapasowe itd. Oddziały frontowe z radością witają kolegów z transportówki, bo wiedzą, że nie przyzwają z próżnymi rękami. Na całym wielkim świecie, objętym płomieniem wojny, na wszystkich frontach, w Afryce, w Europie i Azji jadą transportówki wszystkich narodów walczących, zasilając front w energię, siłę, umożliwiającą prowadzenie akcji

Nie lubię cyfr, czasami jednak ich wymowa jest wyrazista i dokładniejsza od najlepszego porównania. Trochę przykładów: Brygada piechoty zużywa 12 ton żywności dziennie, co wymaga wysłania wielu wozów. Dywizja piechoty pochłania w akcji w ruchu około 35.000 galonów dziennie paliwa, a gdzieś są oleje i smary? Jeden dzień tylko. Tych dni jest tak wiele na froncie, całe tygodnie, miesiące — może lata.

Inny przykład niemniej wymowny. Uzupełnienie minimalnego dziennego tonażu zużycia amunicji artyleryjskiej pułku artylerii lekkiej jest 25 razy cięższe od tonażu żywności spożywanej przez ten właśnie pułk. Albo zrobienie wyrwy około 10 m szerokości w zaskiach z drutu kolezastego przy pomocy ognia artylerii zabiera prawie całą wartość pocisków wyładowanego, 3 tonowego wozu. Niewiele? Dla dywizji piechoty należy dziennie dowieźć około 150 ton wody. Wracając jeszcze do artylerii mimochodem zaznaczmy, że np. pułk artylerii lekkiej strzelając godzinę przy średniej szybkości zużywa prawie 200 ton pocisków. Tysiące tych ton wszelkiego sprzętu różnej objętości i wagi trzeba dowieźć do pozycji, do oddziałów. Specjalne kolumny transportowe przewożą ludzi, przerzucając bataliony, kompanie i baterie artylerii — zależnie od potrzeby — z miejsca na miejsce. Do nas wrzescie należy ewakuacja rannych z pola walki do najbliższych punktów sanitarnych.

Czy te rozliczne zadania nic nie mówią? Czy niedostatecznie nasświetlają rozpiętość i skalę nałożonych na nas zadań?

Może te przykłady choć trochę rozproszą nieświadomość i umniejszą naszą niezajomość wartości tej służby, która wozi wszystko, posuwa

się jak cień za swą jednostką, towarzyszy jej nieodstępnie, nieprzerwaną strugą płynące zaopatrzenie z dalekich zakątków świata doprowadzając wrzescie do ostatniego punktu jego użycia i zastosowania.

Skrzynia amunicji po opuszczeniu fabryki przechodzi przez 50 do 100 par rąk różnych ludzi, zanim dotrze do dział, z którego zostanie wystrzelona.

Śłużba transportu jest jednym z ostatnich ogniw, etapem może najważniejszym, w którym tysiące ton sprzętu po długiej podróży okrętami, koleją, dostają się na wóz, który zawozi go do składnicy lub oddziałów.

Na to jadące zaopatrzenie czyha, jak dowiadujemy się codziennie z komunikatów — lotnik npla, który niby sęp nie przepuści dołem idącej kolumnie. Czytamy o bombardowaniu linii zaopatrzenia, o bombardowaniu portów, stacji kolejowych, pociągów, kolumn transportowych.

Powtarza się uprzykrzonym refranem: „samoloty... rozproszyły kolumny zaopatrzenia npla”. Eskadry bombowców dobrze wiedziały co robią, atakując kolumny transportu. Cbiały przeciąć żywotny nerw frontu

...zaopatrzenie. Czasem się to im udaje.

Teraz zdąła od wojny ćwiczymy się w naszej szarej, żmudnej, bezimienniej pracy. Starzy transportowcy z Libii dzielą się doświadczeniami z kolegami z Rosji. Praca nie ustaje.

Niedługo wyruszymy zapewne na front. Pojadą setki wozów, będą jechały dniami i nocą — nocami ciemniejszymi od bekszyńcówych tobruckich, dniami upalniejszymi od libijskich. Będą jechały konwojami, ochlapane, pomazane piaskowym błotem (dla zamaskowania), bez szyb (bo niebezpiecznie odbijają światło, blask), będą jechały ze sprzętem, ze wszystkim czego wymaga front, czego potrzebuje front a czego żadną miarą nie da się schować w plecaku czy magazynie oddziałowym. Będą jechały bez przerwy, ścigane przez lotnictwo wroga, atakowane przez jego pancerne oddziały lotne, przez artylerię, od bitwy do bitwy aż do kresu, aż do zwycięstwa. Bez tchu, bezimienni dowódcy i szofer będą pracować i iść naprzód, bo taka jest nasza służba...

Karpacka dywizja z ufnością może polegać na pracy swej zmotywowanej służby. Nie zawiedzie.

Bogdan Znowski



LIST DO POLSKIEGO LOTNIKA

„Bóg jest po naszej prawej ręce — wiem o tym...”

Jeden z redaktorów „The Daily Colonist”, wychodzącego w Victoria, stolicy brytyjskiej Kolumbii — p. Sandham Graves — napisał piękny list otwarty „To a Polish Warrior”, który podajemy w przekładzie.

„Szanowny Panie!
Gdybym znał Pańskie nazwisko, niewątpliwie bym go użył, lecz niestety, nie wyjął go — być może z obawy represji w Pańskiej ukochanej Ojczyźnie, Polsce.

Jako rodak Józefa Conrada — Korzeniowskiego, który ukochał „Wspólną Brytyjską”, byłby Pan w każdym razie powitany z radością na ziemi brytyjskiej. O ilez bardziej radośnie jest Pan witany obecnie, kiedy Wielka Brytania wysłała swoją największą flotę w ten największy z wszystkich oceanów — powietrze. O tym właśnie pragnę do Pana napisać.

„Widzi Pan, przeczytaliśmy drobną notatkę w tutejszych dziennikach. Była to tylko drobna notatka, ukryta na ostatniej stronie, lecz pełna treści. Notatka ta donosiła, że pewien pilot doprowadził szczęśliwie swoją maszynę z nalotu na Kolonię do bazy, chociaż maszyna była cała podziurawiona pociskami i ogniem karabinów maszynowych. Wyrzuciła bomba Pańskiej maszyny była owarąta, a „przesyłka” dostarczona na miejsce. Podwozie było zmiażdżone, a czterech członków załogi było rannych i nieprzytomnych. A Pan był pilotem.

„Dalej notatka ta powiada, że gdy zwrócono się do Pana z pytaniami, skrzywił się Pan i odpowiedział w sposób następujący:

— „Mówię bardzo słabo po angielsku. Lecz moi towarzysze są pierwszej klasy. Gdy są ranni, cicho siedzą. Gdy powiedziałem im, że dowiozę ich z powrotem, jeden z nich powiedział: „Hear, hear”, jak to oni zawsze mówią na publicznych zebraniach. Wróciliśmy szczęśliwie, lecz nie mogłem wyciągnąć podwozie do lądowania. Krążyłem nad lotniskiem raz dwa razy, słyzałem jak tam z tyłu za mną jęczeli.

Wówczas powiedziałem „Okey Butch” i ląduję. Bóg jest po naszej prawej ręce — wiem o tym”.

„Pańska angielszczyzna, Szanowny Panie, jest dobra. Gdziekolwiek się mówi po angielsku, każdy zrozumie te kilkadziesiąt słów. Są to słowa męczyzny i wojownika. Wyrażają one dokładnie ducha Królewskiego Lotnictwa, zarówno w tej wojnie, jak i w ostatniej, ducha poświęcenia siebie dla służby. Słowa te dowodzą, że Wielka Brytania ma w Panu wiernego i lojalnego syna adoptowanego; pożytecznego nam do chwili, gdy Pańska własna Ojczyzna zamartwychwstanie, znowu wolna i okryta chwałą, co z pewnością nastąpi któregoś dnia. W swoich ostatnich dziesięciu słowach powiedział Pan więcej niż wielu ludzi powiedziało w ciągu całego swego życia.

„Dlatego to zwróciłem się do Pana, aby powiedział Panu to wszystko. Czy mogę też dodać, że Pański „Okey Butch” z żargonu hollywoodzkiego stał się blizszym mieciem i że wielu ludzi będzie próbowało go uzyskać, by dorównać Pańskiemu przykładowi. Gdybym umiał po polsku, tak jak Pan zna angielski, zwracałbym się do Pana w Pańskim własnym języku. Niestety, nie jestem w stanie tego zrobić. Powiem więc po prostu, że Wspólnota Brytyjska ma wobec Pana wielki dług wdzięczności i że gdyby Józef Conrad — Korzeniowski żył dzisiaj, on pierwszy uściślałby Pańską rękę.

„Szczęść Boże Panu! Jeśli Pan się znajdzie kiedykolwiek w niebezpieczeństwie i życie Pana zależy będzie od dobrej woli innych ludzi, to obył Pan zawsze znalazł dokola siebie takich, którzy powiedzą „Okey Butch” i swoje zrobią. Może Pan o tym nie wie, ale dzień dzisiejszy stał się przez Pana jaśniejszy dla wielu ludzi, którzy przeczytali tę notatkę w gazetach o 7 tysięcy mil od Pana. Wierzę też jeszcze Szczęść Boże Panu. Obył ten, który jest po prawej ręce człowieka, pozwolił Panu wielokrotnie lądować. To najszczęśliwsze życzenie składa Panu

Sandham Graves”

INAUGURACJA AUDYCJI RADIOWYCH A. P. W.

W dniu 2 maja odbyła się w Bagdadzie inauguracja stałych audycji radiowych Armii Polskiej na Wschodzie.

Przemówienie inauguracyjne, które podajemy w całości na stronie 2, wygłosił dowódca A. P. W. gen. Władysław Anders. Następnego dnia, tj. 3 maja, w ramach audycji nadawanej z okazji Święta Narodowego przemawiał poseł R. P. w Iraku p. Henryk Malhomme.

Audycje Armii Polskiej na Wschodzie nadawane są codziennie od godziny 19 do 19,20 na falę 42,3 metra. Na program składają się: ostatnie wiadomości dziennika radiowego,

wiadomości polskie, wiadomości z oddziałów A. P. W., krótki odczyt na tematy aktualne oraz część artystyczna.

W najbliższym czasie uruchomiona zostanie „skrzynka pocztowa”. Stę, chcąc prosić się o nadsyłanie uwag względnie zapytań pod adresem Paiforce 58 — Dział radiowy.

Bezpośrednio po audycjach polskich nadawane są na tej samej falie do godziny 20 audycje angielskie, na program których składa się muzyka lekka i taneczna z płyt.

W audycjach tych biorą udział polscy muzycy i śpiewacy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ten sam. Anonimów nie drukujemy, ale i z podpisem byśmy nie wydrukowali.

Jan K-wicz. Dziękujemy za nowelę „Pod ziemią”. Dobrze się czyta, ale nie udało nam się uchwycić myśli przewodniej.

Kan. Marek. Dziękujemy za ciekawy reportaż — korzystamy.

Pchor. St. St. „Oszczędzajmy oddaliśmy sąsiadom.

Pchor. Bogdan Zn. Dziękujemy za list i artykuł, który zamierzamy zamieścić. Musieliśmy jednak dać pierwszeństwo Pańskiemu reportażowi, by nie stracił aktualności.

Strz. Władysław W-k. Dojdziemy na pewno, ale wiersz słaby. Strz. Artur M-k. Dziękujemy za wiersz. Zamieścimy.

Jan W-ek. Dziękujemy za wiersz „Łęsknota”, który jednak nam nie odpowiada.

Ppor. Jan Z-ski. Dziękujemy za wiersz „Pieśń motoru”. Forma poprawna, ale mało oryginalna. Zatrzymujemy w tece.

B. L. Z-ki. Dziękujemy za ciekawy artykuł o Persji. Postaramy się zamieścić.

Autor wiersza do p. Janeczki. Wiersz słaby i nie podpisany.

Por. J. T-l. Dziękujemy, drukujemy.

Kan. Jan Henryk R. Dziękujemy za przesłane wiersze. Wydają nam się nie pozbawione zalet, ale niektóre wyrażenia i niektóre rymy są zbyt łatwe. Najlepsza chyba pierwsza połowa wiersza „Radio”.

OFIARY

NA JENCÓW WOJENNYCH

Kpr. Lorens Stanisław 2 din.
Strz. Stanisławski Leon 500 fls.
Jedna z kompanii sanitarnych złożyła na rzecz jenców 61 din. 914 fls.

NA DZIECI POLSKIE W ZSRR

Wyżej wymieniona komp. sanitar na złożyła 150 din.

Płk. dr Z. z okazji ukończenia kursów oficerskich, zebrane przez kursantów 43 din. 900 fls.

Płk. P-k. Br. od podkomendnych mu oficerów i szeregowych 42 din. 915 fls.

Ze zbiórki urządzonej przez Anglików w kaplicy w Shaibe 16 din. 500 fls.

Kpr. Marian L. 500 fls.

ŚMIECH NA PUSTYNI

(Dokończenie ze str. 7)

koszulę (spodnie nie uznawał). Wspaniały ten mąż wyglądał na powołanego do spełnienia doniosłych zadań, to też pokładano w nim wielkie nadzieje.

Lecz po pewnym czasie od daty zainstalowania „ghafira” przy studni zaczęły napływać wiadomości, że coś tam jest nie w porządku. Udał się tedy urzędnik na inspekcję w to miejsce i zastał studnię czystą, jak holenderski dom. Lecz pewnymi wątpliwościami napenił go brak wszelkich śladów koczowania.

— Cóż to, Beduini nie korzystają obecnie z tej studni? — spytał „ghafira”.

— Jeszcze by też! — brzmiała odpowiedź. — Miałbym pozwolić tej hologicznie zanieczyszczać taką piękną studnię. Ja znam swoje obowiązki.

W rezultacie trzeba było zostawić studnię swemu losowi i tylko od czasu do czasu je naprawiać.

Pragnąc rozwinąć wśród Beduinów zamiatowanie do rolnictwa jeden z angielskich administratorów pustyni

Synai wpadł na pomysł urządzenia wystawy rolniczej z dość okazałymi premiami za najlepsze eksponaty. Wystawa dała nie przewidziane wyniki. O mało nie przyznano pierwszej nagrody za wspaniałą kolekcję warzyw, którą pewien cwaniak sprowadził z Egiptu uważając pewnie, że to trwa krócej i nie wymaga tyle zachodu co hodowla. Wszyscy (poza rzeczoznawcą weterynaryjnym) zachwycali się baranami i kozami, postrojonymi w kurtki i spodnie lub ufarbowanymi wspaniale na purpurowo.

A jeżeli nie otrzymała nagrody rodzina kurza składająca się z pomalowanej na fioletowo kury, otoczonej dwunastu kurczętami we wszystkich barwach tęczy, należy to tylko przypisać brakowi zmysłu artystycznego jury. Co się zaś tyczy kury, to po jej obłądnym spojrzeniu widać było, jakie wstrząsające wrażenie wywarł na nią widok tak niezwykłe kolorowej progenitury.

Na terenach pustyni, podległych wpływom angielskim, wprowadzono

specjalną instytucję sądów plemiennych, których zadaniem jest likwidowanie „zemsty krwi” oraz wyrokowanie w różnych skomplikowanych sprawach cywilnych. W Transjordanii jest dwóch szefów, wielkich przyjaciół, których łączy pasja plemiactwa. Są oni stałymi klientami „sądu plemiennego” (orfa), gdzie występują jako antagoniści w tak niesłychanie skomplikowanej sprawie, że jeszcze żaden komplet sędziowski nie mógł się w niej połapać.

Trzeba widzieć, jak podczas godzinnej rozprawy obaj starsi panowie miotają się z typowo wschodnią gwałtownością, zarzucając sobie jak najbardziej plugawie choroby i najzbieżniejsze pochodzenie, by po skończeniu roprawy udać się wspólnie w jak najlepszych humorach na czarną kawę.

Pułkownik T. E. Lawrence daje w swych książkach dużo anegdotalnego materiału dotyczącego Beduinów. Najpiękniejsza jest tam historyjka o szuku Auda Abu Taji, który przybył do ohozu Emira Faisala, by zgłosić akcie swego plemienia do sprawy arabskiej.

Po uroczystym akcie wziął udział

w niemiłej uroczystym obiedzie. Ledwo zdążył zasiąść na dywanie, gdy nagle zerwał się i z krzykiem wybiegł z namiotu. Wszyscy oczekiwali w napięciu, co z tego wyniknie. Po krótkiej chwili Auda wrócił trzymając w ręce połamaną sztuczną szczękę i oświadczył, że nie przelknąłby jada emirowego, gdyby je miał gryźć zębami, zrobionymi przez jego wroga. Szczękę tę bowiem zrobił mu turecki dentysta w Damaszku. W rezultacie tych patriotycznych uczuć Auda musiał przez dwa miesiące żyć tylko gotowanym ryżem i trzeba było sprowadzić dentystę z Egiptu, by zrobił dla niego „lojalną” szczękę.

Istnieje bogata literatura podróźnicza, poświęcona Beduinom. Bardzo dużo w niej anegdot i opowieści humorystycznych. Ogromna większość tych książek została napisana przez Anglików. W naszej literaturze podróźniczej nie natknąłem się (poza Ossendowskim) na żadną książkę, powstałą z obserwacji Beduinów. Beduini naszych humorystów jak Makuszynski czy Marczyński nie wspólnego z rzeczywistymi Beduinami nie mają.

Bronisław Z...

Tygodniowy przegląd wydarzeń

ZNAJDUJEMY SIĘ W PRZED-
DNIU ożywienia się działań wojen-
nych. Otwiera się kampania letnia,
w której z kolei Niemcy starają się
bądź o podjęcie inicjatywy. Źródła
sowieckie mówią o nowych przygo-
towaniach niemieckich do ofensywy
w Rosji. Zapowiadają ją w szczegól-
ności moskiewskie „Lwiestia” dono-
sząc o nadejściu na front sowiecki
olbrzymich czołgów niemieckich typu
„Tygrys” i o koncentracjach wojsk
„osi”. Przygotowuje się również stro-
na sowiecka, która być może będzie
chciała uprzędzi Niemców. Na razie
wszakże walki ograniczają się do
odcinka na Kubaniu, gdzie wojska
sowieckie nadal usiłują zlikwidować
niemiecki przyczółek. Na skutek
swej zimowej kontrofensy wojska
sowieckie zdobyły znacznie silniejsze
niż w roku zeszłym stanowiska
obronne, lecz Niemcy zatrzymali
główne bazy uderzeniowe na odcin-
kach: Smoleńska, Orła, Charkowa
i Kubania.

Pozycje swe w Rosji starają się
Niemcy zabezpieczyć również utrzy-
maniem za wysoką cenę przedpola
Bizerty i Tunisu oraz rozwijaniem
intensywnej działalności ofensywnej
na Atlantyku, gdzie niemieckie łodzie
podwodne usiłują sparaliżować anglo-
amerykański system transportów
i zaopatrzenia. Wojna obecna z Niem-
cami rozgrywa się zatem w trzech
wielkich rzutach: Rosja — Morze
Śródziemne — Atlantyk. Dla strony
niemieckiej między tymi trzema fron-
tami istnieje ścisła łączność. Mamy
poza tym front czwarty — lotniczy
nad zachodnią Europą. Lecz tam in-
icjatywa jest wyłącznie w rękach so-
juszniaków. Niemcom wydaje się, że
uda im się tym razem zadać cios
Rosji i utrzymać obronne pozycje na
zachodzie. Dalsze ich nadzieje wią-
żą się zapewne z ewentualną akcją Ja-
ponii, no i wreszcie z udaniem się
takiej, lub innej inicjatywy pokojowej.

ZAPOWIEDZIĄ NOWYCH WY-
DARZEN na froncie sowieckim był
rozkaz Stalina do armii z okazji
1 maja. W przeciwieństwie do roz-
kazu wydanego na 25-lecie armii
czerwonej, Stalin nie pominął tym
razem wysiłku wojennego innych
sprzymierzonych, zwłaszcza w Tunisie
i w wojnie powietrznej. Wywo-
dził on, że Niemcy przeżyją kry-
zys, wywołany załamaniem się „Blitz-
kriegu”. Nie znaczy to jednak, by
„Niemcy hitlerowskie” znajdowały
się już w przededniu katastrofy. Było
by też naiwnością mniemać, że kata-
strofa przyjdzie sama przez się. Zda-
niem Stalina, konieczne są dwa lub
trzy dalsze potężne uderzenia na za-
chodzie i na wschodzie, by katastro-
fa niemiecka stała się faktem.

Zdaje się, że nawoływania do utwo-
rzenia drugiego frontu lądowego
w Europie staną się znnowu natar-
czywsze w miarę, jak rosnąć będzie
niebezpieczeństwo ofensywy niemiec-
kiej na wschodzie. Tymczasem bry-
tyjski minister dla spraw Indii,
Amery, zaznaczył, że drugi front
istnieć w Północnej Afryce. Powstał
on nie z woli sprzymierzonych, lecz
wskutek reakcji Hitlera na inicjatywę
sojuszniaków. W roku zeszłym
wprawdzie nie uznawano w Moskwie
tego rodzaju wyjaśnień za wystar-
czające.

Stalin wspominał w rozkazie rów-
nież o innych ewentualnościach. Mówił
więc, że Niemcy chciałyby za-
wrzcić pokój z Wielką Brytanią
i Stanami Zjednoczonymi pod warun-
kiem, że oba te mocarstwa pozosta-

wią Rosję swemu losowi. Dodał jed-
nak natychmiast, że Berlin chciałby
też zawrzeć pokój ze Związkiem So-
wieckim pod warunkiem porzucenia
przez Moskwę Wielkiej Brytanii
i Stanów Zjednoczonych. Dotychczas
Berlin nie zareagował na powyższe
zastanawiające domniemania Stalina,
który zresztą po rewelacjach tych
zapewniał, że oczywiście warunkiem
zaprzestania wojny musi być bezwar-
unkowa kapitulacja „Niemiec hitle-
rowskich”.

W TUNISIE trwa już przeszło
dwa tygodnie generalna ofensywa
sprzymierzonych na przedpolu Bi-
zerty i miasta Tunis. Wojska sojus-
nicze, choć odniosły sukcesy, nie
uzyskały jeszcze decyzji, a nawet
spotkały się z przeciwnactwem
Niemców, którzy tu i ówdzie od-
yskali nieco terenu. W rozmieszczeniu
wojsk sprzymierzonych zaszły zmiany
Wojska amerykańskie zajęły stano-
wiska i armii brytyjskiej na skrajnie
północnym, nadmorskim odcinku
frontu. I armia obsadziła odcinek
trzymający dotychczas przez Ameryka-
nów pod Medżez-el-Bab. Walczy za-
tem ona obecnie w bezpośredniej
łączności z VIII armią, która stoi na
odcinku Enfidaville. Między obu
armiami brytyjskimi stoją wojska
francuskie, podległe dowództwu I
armii. Znajdują się one już na pe-
ryferiach miejscowości Pont du Fahs.
Generał Giraud zapowiedział dalsze
wzmocnić walk w Tunisie i zakoń-
czenie ich w ciągu maja. Obecnie
główny ciężar walk spoczął na I
armii. Znajduje się ona najbliżej
miasta Tunisu, od którego oddalona
jest o 40 km. Zadaniem jej jest jak-
najwyższe dotarcie do Tunisu i roz-
bicie sił „osi” na dwie grupy, wzglę-
dnie zepchnięcie nieprzyjaciela do
Bizerty. Główne walki rozgrywały
się około 12 km na południowo-za-
chód od Tebourby, celu ofensywy
brytyjskiej.

Podczas gdy I armia wiazała siły
„osi” na środkowym odcinku frontu,
wojska amerykańskie zajęły bardziej
na północny Mateur i znalazły się
w odległości 16 km od Bizerty. Amery-
kanie przewalili w ten sposób jedyne
połączenie kolejowe między Tun-
nisiem i Bizertą. Po zajęciu Mateur
wojska amerykańskie posunęły się
w dwóch kierunkach: na północ
w stronę Ferryville i na południe
w stronę Tebourby, grząc odcięciem
walczącym tam Niemcom. Pomimo
tych sukcesów, trudny teren, połączone
umocnienia Bizerty oraz wola „osi”
przedechnienia walk każą liczyć się
z ciężkim jeszcze okresem w Tunisie
i z dłuższym oblężeniem Bizerty.
Amerykański minister wojny Stimson
raz jeszcze zwrócił uwagę na trudne
warunki terenowe w Tunisie oraz
na fakt, że Niemcy trzymają silne
naturalne umocnienia rozporządzając
krótkimi liniami komunikacyjnymi.
„Ciężkich strat — mówił minister —
należy oczekiwać, gdy przystąpimy
do burzenia stanowisk „osi”.

Dotychczas nie też nie wskazują,
by Niemcy zamierzali przeprowadzić
masową ewakuację Tunisu. Być może
w ostatniej chwili usuną stamtąd
oddziały sztabowe oraz specjalistów.
Reszta jednak wojska będzie musiała
walczyć tak, jak pod Stalingradem
do końca, by jak najdłużej wiązać
sprzymierzonych. Prawdopodobnie
Niemcy wywierali nacisk na Musso-
liniego, by ten rzucił do akcji dla
przeprowadzenia ewakuacji Tunisu
swe ostatnie pancerniki w liczbie
siedmiu oraz flotyllę kontrtorpedow-
ców. Lecz wątpić należy, by zabieg

te uwiecznione zostały powodzeniem.
Mając do wyboru zabezpieczenie dy-
wizji niemieckich w Tunisie (dywizje
włoskie bowiem już poprzednio po-
święcił Rommel) czy też obronę wy-
brzeży włoskich, Mussolini i jego
sztab wybrał zapewne ostatnią al-
ternatywę i wykręca się z pod na-
cisku swego sojusznika. Na Morzu
Śródziemnym bowiem flota włosko-
niemiecka nie zdobyła przewagi.
Pisma brytyjskie obliczają, że praw-
dopodobnie połowa transportu „osi”
dla Rommla i von Arnima nie do-
tarła do miejsca przeznaczenia wskutek
działalności brytyjskich łodzi
podwodnych.

ROZWAŻAJĄC OPÓR „OSI” W TU-
NISIE, jej zamiar uczynienia z Bi-
zerty niemieckiego Tobruku „Eye-
ning Standard” snuł ciekawe uwagi:
„Niemieckie naczelné dowództwo mu-
si być świadome, że okres czasu
zyskany między kwietniem i czer-
wcem nie wynagrodzi całkowitej utraty
wojsk niemieckich w Tunisie. Mimo
to, jeżeli weźmiemy pod uwagę po-
łożenie tego wojska w polu, a po-
nadto długość linii zaopatrzenia oraz
teorię sztabu niemieckiego, musieli-
bysmy dojść do wniosku, że istnieją
dane, iż jakieś wydarzenia mogłyby
nastąpić w basenie Morza Śródziem-
nego przed ostatecznym zakończeniem
działań w Tunisie.” W każdym bądź
razie zbliżamy się do dramatycznej
chwili w znagiach w Afryce.

Na razie nadchodzą dalsze wie-
domości o zarządzeniach obronnych
Włochów w Sycylii i na Sycylii,
a także w okupowanej przez wojska
włoskie Francji południowej od Men-
tyony po Toulon oraz o przybyciu
trzech dywizji niemieckich do Salo-
nika, a czwartej do Bułgarii. Włosi
zaniepokojeni są też położeniem Cy-
pru, gdzie niedawno odbyły się ma-
newry brytyjskie. Wszystko to świad-
czy o przygotowaniach do wielkiej,
może decydującej dla tej wojny roz-
prawy o Morze Śródziemne. Zwraca-
ła również uwagę z tego względu
narada Hitlera i Ribbentropa z La-
walem, który podobnie jak inni wa-
sali Trzeciej Rzeszy był przyjęty na
specjalnej audyencji u Fuhrera. Wy-
dany następnie komunikat mówił o
„roli i ofiarach Francji w walce z
bolsewizmem i zachodnimi plutokra-
cjami” oraz o „korzyściach, jakie stąd
wynikną dla Francji”.

TYMCZASEM TRWA ZACIĘTA
WALKA O ATLANTYK. O jej prze-
biegu ukazują się skąpe wiadomości.
Niedawno premier Churchill oświad-
czył, że podwodne działania ofensy-
wne wroga na Atlantyku muszą
przede wszystkim skupiać uwagę
Wielkiej Brytanii i Stanów Zjedno-
czonych, a Goebbels zapowiadał po-
jednym z nalołów na Essen, że w
mniemaniu niemieckim ciosy zada-
wane Wielkiej Brytanii przez nie-
mieckie łodzie podwodne będą da-
wały coraz donioślejsze następstwa,
o ile tylko społeczeństwo niemieckie
potrafi znieść skutki brytyjskiej woj-
ny lotniczej. Amerykański wicemin-
ster wojny Peterson stwierdził z
swej strony, że wojna podwodna jest
jedyną ciemną plamą na jasnym
obrazie sojuszników. Jakże są jej
wyniki? W drugiej połowie 1942
stocznie Stanów Zjednoczonych i Ka-
nady zdobyły pokryć straty w żeglu-
dze z nadwyżką 1.250.000 tonn. W
pierwszych dwóch miesiącach tego
roku straty sojuszników na morzu
były najniższe na przestrzeni całego
roku. Mimo to w krajach anglo-sas-
kich istnieje przekonanie, że należy

wzmóc jeszcze wydajność stoczni i to
nie tylko w zakresie budowy statków
handlowych, ale i jednostek bojo-
wych, by wzmocnić eskortę konwo-
jów. Wreszcie oczekiwane jest wzmo-
żenie walki z łodziami podwodnymi
przy pomocy wywiadowych wod-
nolopowców i bombowców o dale-
kim zasięgu. Do metod walki z nie-
bezpieczeństwem łodzi podwodnych
należy również bombardowanie gło-
wnych ich baz w Lorient, Saint Na-
zaire i Brest.

POMYŚLNIE PRZEDSTAWIA SIĘ
NATOMIAST nadal dla sprzymierz-
zonych walka powietrzna. Amerykań-
ski minister wojny Stimson stwier-
dził, że żadne lotnictwo nie wytrzy-
ma długo takich strat, jakie „os”
ponosi nad Europą i Afryką Północ-
ną. Neapol, Messyna, Bari, Wilhelmsh-
hafen i Essen były celem głównych
bombardowań sojuszników nie licząc
zwykłych nalołów na linie kolejowe,
porty i żeglugę „osi”. Na miasto Es-
sen spadło już 10.300 ton bomb, co
znaczenie przekracza ilość bomb otrzy-
manyh w czasie wojny przez Lon-
dyn. W walce tej lotnictwo polskie
jest wciąż w pierwszej linii. Niedaw-
no doniesiono o zatopieniu w Zatoce
biskajskiej przez polskie samoloty
dwóch łodzi podwodnych wroga, co
stanowi wymowną odpowiedź tym,
którzy usiłują bagatelizować wkład
Polski w tej wojnie i bredzą na tem-
at naszego współdziałania z Niem-
cami.

ILUSTRACJĄ WYSILKU WOJEN-
NEGO Wielkiej Brytanii są zresztą
liczby podane przez brytyjskiego mi-
nistra skarbu Wooda przy wnosze-
niu nowego budżetu w Izbie Gmin.
Stwierdził on, że Wielka Brytania
wydaje dziennie 15.000.000 funtów
na wojnę (około 400.000.000 złotych).
Dotychczas Wielka Brytania wydała
na cele wojenne 15 miliardów fun-
tów. Samej Rosji udzieliła pomocy
na sumę 170 milionów funtów.
O kosztach wojny dają pojęcie nastę-
pujące ceny: zwykła łódź podwod-
na kosztuje 250.000 funtów, pancernik
7.750.000, czołg typu Valentine
15.000, bombowiec 27.000, bomba
dwutonowa 350 funtów, zwykły kb
7 funtów. Stwierdzono również, że
Kair musiał dostarczać codziennie
2.000 nowych cpon dla VIII armii
i jej etapów, gdy znajdowała się ona
w odległości 2 500 km od stolicy
Egiptu.

OGŁOSZONO W DZIENNIKACH
oświadczenie rządu polskiego w spr-
wie stosunków z Rosją. Radio
londyńskie zaznaczyło ze swej
strony, że rząd polski w oświadcze-
niu tym nie powrócił do swego apelu
do Międzynarodowego Czerwono-
go Krzyża o zbadanie sprawy oficerów
polskich. W odpowiedzi do rządu
polskiego Międzynarodowy Czerwony
Krzyż wyjaśnił trudności, na które
napotyka w dążeniu do zadośćuczyn-
ienia wnioskowi polskiemu. W tych
okolicznościach rząd polski uważa
swoją apel za wygasły.

Z powodów od nas niezależnych
wstrzymujemy się od komentarzy
własnych. Stanowisko zresztą „Orla
Białego”, jak to czytelnicy dobrze
rozumieją, jest w tej sprawie od sa-
mego początku jasne i niedwuznaczne.
D. I.

Od Redakcji

Prosimy o zawiadamianie nas w ra-
zie niedokładności w dostarczaniu
„Orla Białego”.

S Z T U R M O W C Y

Urywane słowa komendy ruszają z miejsca pluton.

Chłopcy w hełmach, z bronią na ramieniu, sprawnie maszerują. Są to przecież szturmowcy. Z całym zapalem podchorążackich dusz ładują się na samochody; jesteśmy zmotywowani i ani kto myśli o możliwości pójścia piechotą na ćwiczenia.

Po krótkiej jeździe pluton szturmowy wyładowuje się na pustyni w piękną księżycową noc. W oddali wyniosłe palmy czernieją w srebrzystej poświacie księżyca, wokoło cisza, którą boimy się zmącić.

Na ćwiczenia padł cień tego egzotycznego mroku, jaki roztoczyła irańska noc. Serca biją z wrażeń. Ładujemy broń, granaty do wrażeń. Krótkie zadanie. Mamy zdobyć dwa schrony w systemie obrony silnie umocnionego wroga. Zadanie ciężkie. Trzeba wziąć pod uwagę miny, zasieki z drutu oraz przeszkody naturalne w postaci rowów nawodnionych.

— Jasne? —

— Tak jest! — Odpowiada deca oddziału szturmowego. Jest nim młody podchorąży. Skupiamy się dookoła niego. Wiemy, że był w Tobruku, na piersiach widnieje baretka „Krzyża Walecznych”.

Cicho lecz pewnie mówi o swoim planie wykonania zadania. Nie na jednym wypadzie był w pustyni. Dlatego też mu ufamy. Widać, że podchorąży przeżywa tak realnie ten wypadek, jak gdyby to było pod Tobrukiem, kiedy chodzili szaleńcy daleko w głąb pozycji niemieckowłoskich.

Byliśmy z nim całą duszą. Przycisnąłem mocno Thomsona do boku.

Dał znak — ruszamy jak cienie, bezszelestnie przywarci do ziemi; podchorąży na przędzie, my jeden za drugim. Zdaje mi się, że słyszę bicie serca kolegi z przodu i wiem, że on też przejął się wypadem. Nie słyszymy żadnych rozkazów, robimy to co dowódca robi i rozumiemy się doskonale. Idziemy pomału, ostrożnie, zamierzając w bezruchu za każdym szmerem.

Czy nas za wcześnie nie zauważą? Myśl ta niepokoi mnie przez chwilę, ale nie ma czasu na rozmyślania, bo zbliżamy się do pierwszego rowu z wodą. Ofermy, jeszcze nas nie spostrzegli, myślenie z ulgą i trzymając „tomigana” nad głową przechodzę row. Jeden skok i... przywarliśmy do ziemi bez ruchu. Przed nami — druty. Szybko je przecinamy, ale tutaj mogą nam grozić miny. Robimy przejście, skrupulatnie przeskakując ziemię cał za całem, znowu skok i jesteśmy koło drugiego rowu. Teraz rzecz najważniejsza: bezszelestnie przejść row odległy od npla zaledwie o 40 metrów, a później zasyapać wroga gradem granatów, zatkać całymi wiązkami pocisków z „tomigana”, zdemoralizować, oszołomić, zniszczyć. Wykonać zadanie. Czujemy się tuż przed samym rowem ostrożnie, tak cicho, że tylko słychać ciężkie oddechy. Nagle rakietą. Wystrzela wysoko, biała, fosforująca, przeklecia rakietą, czyż nigdy nie upadnie? Upadła daleko za nami. Nie ma czasu do namysłu. Następna może upaść obok, a wtedy... Wiemy, że podchorąży zaraz nas poderwie, daje znak, błyskawicznie przechodzimy row. wściekła salwa granatami, „tomigany” zaszczekały zajadłe, jak echo odpowiedziała nam obrona. Jeszcze granaty, ile sił we wroga, obrońcy

scichli. Szybko, jak tylko można było do schronu. Rzucamy cocktail, solidny cocktail, od którego blask oświecił całą scenę walki. Obrońców nie słychać, biegiem na stanowiska. Detonacja przy drugim schronie; za chwilę strzela w niebo jasny płomień i stamtąd.

Zdobyli!

Przenikliwy gwizd syreny wyrwa nas z tego szalu. To przecież ćwic-

zenia! Z trudem sobie to uprzytomniamy.

— Powstań! Rzędem za mną marsz... Idziemy na miejsce zbiórki. Jesteśmy zadowoleni z ćwiczeń: tak się dobrze udało!

Trochę zmieszani są obrońcy. — Jak wściecie tak blisko podeszli? Psiakrew, że też czujki was nie spostrzegły!

Czy czujki mogły nas spostrzec?

Roz.

WIERSZ DLA PRZYJACIELA

Nie wierz nocom idącym chmurami po niebie,
Gdy ciężka ręka mroku pochyla nam czoła —
Wiem jak trudno nakarmić młodość obcym chlebem,
Gdy w uszach dźwięczy ciągle: „Jedźmy. Nikt nie woła”.

I nie wierz, przyjacielu, tym, co los żebraczy
Chcą ubrać w pawich piór niemoc słowańska,
Byś nigdy nie śmiał spojrzeć na dno twej rozpacz
I błakał się... i tęsknił za... piosnką ułańską.

To nic, że cię ubrali w mundur cudzoziemski
I kazali umierać na piaskach, w pustyniach,
Ze nad grobem nie szumi brzoza płaczem wiejskim,
A przechodząc nie westchnie daleka dziewczyna.

To nic, że się zawałił gmach młodzieńczych rojeń
I trzeba było podjąć trud wygnanej troski.
I raz jeszcze w historii wypisywać znojem
Nieubłaganą klątwę — legendę Sulkowskich.

Odrzucamy bez żalu barwne proporcezki
I nie będziemy słuchać kolorowych hasel —
Nowa Polska stężeje w groźnym, młodym krzyku,
By raz wreszcie na darmo krew nie wsiąkla w piasek!

Przemierzmy wszystkie lądy. Wszystkie drogi przejdziem.
Będziem zginać się w bólu. Brat podtrzyma brata.
Aż nam w końcu ojczyzna nowa w sercach wszędzie —
Taka, której nie zmiotą żadne wichry świata.

Więc nie rozmyślaj długo w nocie od trosk chmurne
I nie wyczekuj ciągle poranków i świtów —
Nasze drogi dalekie. Nasze loty — górne.
Trzeba zęby zacisnąć i o nic nie pytać.

Jan Olechowski

TYGODNIOWY PROGRAM AUDYCJI RADIOWYCH

9.V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Sienkiewicz — Bajki — recytuje St. Belski. 3) Polka — solo na harmonii. 4) Piosenki szczęśliwych dni. 5) Marsz kawalerski.

10.V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Przegląd tygodniowy w oprac. Zb. Racięskiego. 3) Chopin, Nokturn S-dur, Moniuszko, Polonez z „Hrahiny”, Karasiński, Walc Francois — wykon. trio: H. Gold, J. Petersburski, A. Melodyst.

11.V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) O sztuce H. Naglerowej „Tu jest Polska” — wywiad z reżyserem W. Radulskim przeprowadzi R. Mossin. 3) Rydel „Zaczarowane Koło” (fragment) rec. H. Krzyski. 4) J. Petersburski — „Walczyk Warszawy” — śpiewa J. Jasińska.

12.V. godz. 19 — 19,20

Audycja żałobna ku czci Marszałka JOZEFA PIŁSUDSKIEGO

1) Dziennik radiowy 2) Odczyt o Marsz. Piłsudskim, w oprac. Zb.

Racięskiego. 3) M. Hemar — Rapsod o Marszałku — J. Andrzejewska. 4) Chopin — Marsz żałobny — odegra Zb. Grzybowski

13. V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Meldunek kobiet z Kraju do Nacz. Wodza — odczyta J. Andrzejewska. 3) Chopin, etiuda E-dur, Karłowicz — pieśń — wykon. trio: H. Gold, J. Petersburski, A. Melodyst.

14. V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Wysłitek wojenny uchodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych — w oprac. L. Tyśmiennickiego. 3) K. Makuszyński — „Lwowskie zegary” — rec. J. Domańska. 4) Chopin — „Dumka”, Karłowicz — „Zawód”, „Skąd pierwsze gwiazdy” — śpiewa H. Szyfman, akomp. J. Petersburski.

15. V. godz. 19 — 19,20

1) Dziennik radiowy. 2) Przegląd prasy. 3) K. Tetmajer „Jakie jest serce matki” — rec. K. Utnik. 4) Wieniawski — Mazurek — Dudziarz — H. Gold (solo na skrzypcach).

POSZUKIWANIA

251. Lachnan Feliks (P.F.P. 58) — Wertensteina Piotra syna Ludwika.

252. Maraszkievicz E. (P.F.P. 634) — Piotrowskiej Jadwigi z maj. Zawiszcze k. Janowa Poleskiego.

253. Przybysz Zbigniew (P. F. P. 310) — Przybysza Franciszka wywiezionego do ZSRR w 1939 r.

254. Korneszczuk Ludwik (P.F.P. 461) — inż. chem. Kurkusa Mariana syna Jana, ur. 1906 r. w Warszawie względnie kogokolwiek, kto po bombardowaniu ewakuowanych jeńców odszedł do szpitala w m. Skwira na Ukrainie.

255. Wojciekian Julian z Lachowicz pow. święciańskiego (P. F. P. 341) — krewnych i znajomych.

256. Kociłowicz Rafał z Płociniszek, gmina Pieszka, pow. wileńskotrockiego (P.F.P. 341) — krewnych i znajomych.

257. Woźniak Tadeusz (P. F. P. 341) — braci Kazimierza i Gustawa ostatnio zamieszkałych w Bartoszewce pow. czortkowskiego oraz szwagra Krzycha Szymona.

258. Tomkow Jan (P.F.P. 332) — matki Marii ze Złoczowa, wywiezionej do kustanańskiej obl.

259. Radon Stanisław z Pawłokomy pow. brzozowskiego (P. F. P. 341) — krewnych i znajomych.

260. Kondratowicz Witold (P.F.P. 341) — Kondratowicza Józefa, matki Eweliny wraz z rodziną. Ostatnio przebywali w obozie Nr 1 w Teheranie.

261. Wojtyna Józef (P.F.P. 517) — brata Władysława z Borszczowa, aresztowanego 10 lutego 1941 r.

262. Wurm Leon (P. F. P. 517) — prosi dr Lipla Józefa w Teheranie o wiadomość o rodzicach.

263. Wojna Antoni (P.F.P. 207) — Harasimowicz Weroniki.

264. Pasięka Kazimierz (P. F. P. 207) — brata Tadeusza i jego żony Zofii, wywiezionych ze Lwowa do ZSRR w r. 1940.

265. Szkuła Aleksander (P. F. P. 595) — ppor. Szkuła Stanisława z Bielska, będącego w marcu 1940 r. w obozie jeńców w Starobielisku.

266. Welzandt Edmund (P. F. P. 207) — prosi kolegów i znajomych o adresy.

267. Gedo Bronisław — Gedo Franciszki z dziećmi. Ostatnio przebywały w ZSRR koło Akmolińska.

268. Kozłowski Czesław ze Lwowa (P.F.P. 322) — Henryka, Andrzeja, Stanisława Kozłowskich.

269. Dobrzycki Stanisław (P.F.P. 160) — ppor. rez. kaw. Wierzbickiego Ryszarda z Lublina. W październiku 1939 r. był w obozie jeńców w Kozielsku.

270. Lukas Stanisław (P.F.P. 59) — Lukasa Jana.

271. Umańska Felicja (P.F.P. 82) — córki Elżbiety (Lali), była w więzieniu łomżyńskim.

272. Victor Eugeniusz (P. F. P. 208) — brata Henryka, sędziego hipotecznego z Tomaszowa Mazowieckiego, szwagra Lukianowskiego Wiktor, sędziego śledego z Włodzimierza Wołyńskiego i jego rodziny oraz znajomych z Równego.

**PAMIĘTAJ
O
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.**